

Biuletyn Z.W.PTTK w Łodzi

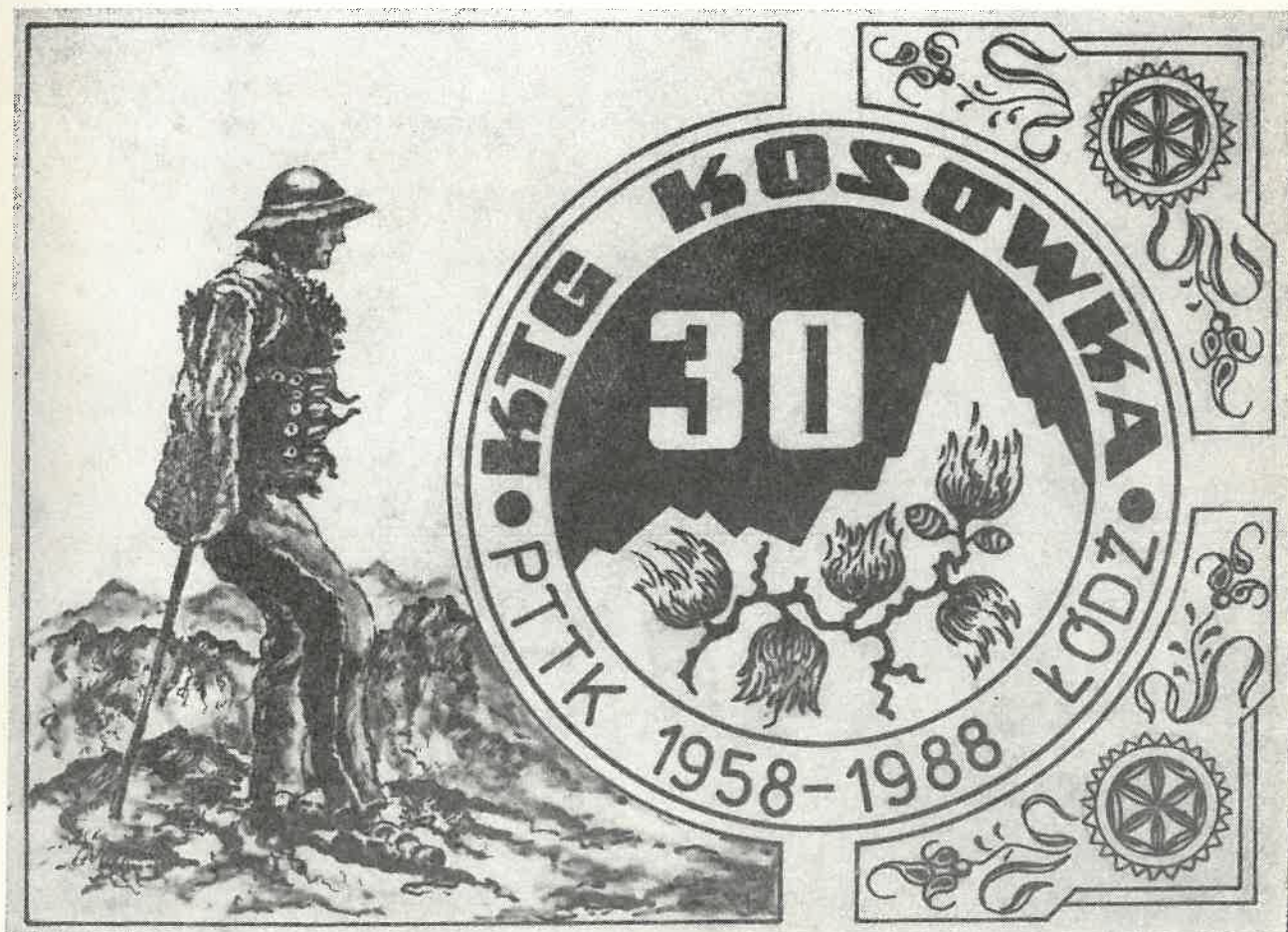
WIEDOROWNIK



Rok XXXII

Listopad - Grudzień 1987

Nr VI (312) 87



Rysunek Bohdana Bazylińskiego



Kamień Żeromskiego u podnóża Łysicy (przy szosie z Kielc do Bodzentyna) ufund. w 1930 r. przez Koło Geograficzne przy Gimnazjum Bł. Kingi w Kielcach fot. Jolanta Grońska

BIULETYN PTTK „WĘDROWNIK”

SPIS TREŚCI Nr VI (312) 87

	Str.
Władysław Krygowski — Na trzydziestolecie „Kosówki”	3
Lechosław Fularski — Urzeczeni górami	4
Stanisław Nowicki — Rajdy „Łysogóry — Jesień”	10
Lechosław Fularski — Rajd imienia Wujcia	14
Vaclav Rinn — Nasze kontakty	17
Andrzej Lesiński — Turystyka nie zna granic	19
Adam Chyżewski — Rumunia 1977	21
Grzegorz Ulman — Wędrowki bułgarskie	22
Zbigniew Ścibiorek — Nepal 1986	24
Władysław Manduk — W sieci pająka (Złot w Rzekach — czerwiec 1957)	26
Eleonora Nowicka — Garść wspomnień o „Kosówkowej rodzinie”	29
Kazimierz Hempel — Niech nam żyje pan Kierowca! On nas wiezie do Leskowca	34
Jolanta Grońska, Witold Opasewicz — 30 lat minęło...	38

BIULETYN PTTK „WĘDROWNIK” jest wspólnym organem Zarządu Wojewódzkiego, Oddziałów, Komisji, Klubów i Kół PTTK.

— ★ —

Wydaje Zarząd Wojewódzki PTTK w Łodzi.

— ★ —

Adres Redakcji: ulica Wigury 12a, 90-301 Łódź, tel. 36-43-70.

— ★ —

Redaguje Komitet w składzie: **Bohdan Bazyliński**, **Adam Chyżewski**, **Jacek K. Ciesielski** (Sekretarz Redakcji), **Zbigniew Lipowski**, **Maciej Mamiński**, **Leonard Matuszewski**, **Anna Pilarska** (Redaktor Naczelny) i **Stefan Zwierzyński** (Redaktor Techn.).

— ★ —

Numer wydany z okazji 30-lecia Klubu Turystów Górskich „Kosówka” Łódzkiego Oddziału PTTK.

— ★ —

Zamknięto w listopadzie 1987 r.

— ★ —

Materiały zebrali i opracowali: **Jolanta Grońska** i **Witold Opasewicz**.



PREZESI

Klubu Turystów Górskich „KOSÓWKA”

1. Aleksander Siemiradzki 12.IV.1958—16.II.1966
3.II.1970—21.I.1972
2. Marek Trombski 16.II.1966—3.II.1970
3. Adam Chyżewski 21.I.1972—21.II.1974
4. Grzegorz Ulman 21.II.1974—31.III.1977
5. Romuald Zieliński 31.III.1977—17.IV.1982
6. Lechosław Fularski 14.X.1982 — do chwili obecnej

CZŁONKOWIE HONOROWI

Klubu Turystów Górskich „KOSÓWKA”

1. Władysław Krygowski
2. Andrzej Łączyński
3. Vaclav Rinn
4. Marek Trombski
5. Stanisław Wierzbowski
6. Janina Zimowska

Jubileusze KTG „KOSÓWKA”

- V-lecie — Św. Katarzyna 20—21.IV.1963
- X-lecie — Bodzentyn 20—21.IV.1968
- XV-lecie — Sandomierz 28.IV—1.V.1973
- XX-lecie — Dolina Chochołowska 2—6.VI.1978
- XXV-lecie — Kalatówki i Dolina Pięciu Stawów Polskich 4—12.VI.1983
- XXX-lecie — 29.V—5.VI.1988

Warszawa 1987.11.18

Znak

Oddział Łódzki PTTK
Klub Turystów Górskich "Kosówka"

Drodzy Przyjaciele !

Aż się nie chce wierzyć, że Wasz najstarszy Klub Górski w PTTK obchodzi już swoje 30-lecie.

Przyjmijcie serdeczne, gorące podziękowanie za mądre przybliżanie łodzianom gór, za ochronę kulturowych i przyrodniczych wartości gór, za zapisanie pięknych kart w historii naszego Towarzystwa.


Gratulujemy Wam wspaniałych imprez, cudownej atmosfery w Klubie, a przede wszystkim wychowania setek turystów-górali.

Życzymy wielu radości w czasie turystycznych wędrówek, mnóstwa krajoznawczych odkryć oraz utrwalania więzi koleżeństwa i przyjaźni.

Pamiętajcie, że co czynicie z taką radością jest ważną wartością dla Towarzystwa w jego służbie dla Polski.

W imieniu Zarządu Głównego PTTK

Prezes


Andrzej Gordon



Na trzydziestolecie „Kosówki”

O jubileuszach można pisać i pisać, bo — z jednej strony — każdy jubileusz jest rozliczeniem działalności z pewnego okresu, a więc stosowną chwilą, by spojrzeć na to co się dokonało, a czego nie, z drugiej jednak strony — jest okazją do rozległej analizy z głębszego punktu widzenia.

Życie „Kosówki” tylko z pozoru zaczęło się przed trzydziestu laty. Poczęło się wcześniej z potrzeby ducha i serca odczuwanej w danej grupie ludzkiej o wspólnych lub pokrewnych ideałach i postawach życiowych, która jako organizacja społeczna powstała przed trzydziestu laty. Co było ową siłą zespalającą pewną grupę ludzi, różnego wieku — starszych i młodszych, z różnych środowisk zawodowych? Była nią postawa ich wobec życia i wobec gór. Była aprobatą wspólnego stosunku tych ludzi do przyrody górskiej i swoistego życia w tej przyrodzie. Była emocjonalną potrzebą powrotu człowieka do natury, nie w prymitywnym pojęciu tego słowa, lecz potrzebą wzbogaconą o wiedzę współczesnego człowieka o świecie zjawisk i przeobrażeń górskich. Tak pojęty powrót do przyrody ojczyznej staje się pogłębioną znajomością przeobrażającego się ciągu dziejów świata gór. Staje się także przeobrażeniem nas samych, patrzących w coraz to nowy sposób na góry. W zgiełku życia współczesnego z tym większą ostrością odczuwamy tęsknotę do odkrycia w tym świecie i w nas samych wartości, które pomimo zmian i przeobrażeń przetrwały i stanowią istotę i sens człowieczego życia, wartości które łączą dawne pokolenia z nowymi.

Patrząc z tego głębszego punktu widzenia na trzydzieści lat istnienia „Kosówki”, nasuwa się mi przede wszystkim jako główna refleksja, iż

u podstaw powstania naszego Klubu leżało dziedzictwo i ideologia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Może ktoś spytać, dlaczego z serdeczną przyjaźnią odnoszę się zawsze do owych przyjacielskich zespołów, które z czasem stawały się Klubami. To nie żadne elitarne grupy społeczne, to po prostu dobrzy, doświadczeni turyści. To bezcenne skupisko przyjaciół szukających pełni życia w górach.

Kolebką „Kosówki” była Łódź i jej zapracowani ludzie. Jeszcze za czasów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego rozwijały się tutaj wierne górom pokolenia. I może to jest niezwykle, że właśnie w tych wielkich środowiskach pracy ze szczególną siłą zrodziła się tęsknota do gór, przynoszących po pracy ukojenie, zdrowie ciała i ducha.

Kiedy przed trzydziestu laty powstawała „Kosówka”, a powstawała na wspólnych, coraz to częstszych wycieczkach, zacieśniały się przyjaźnie nie tylko z górami i ich życiem, ale także przyjaźnie między członkami Klubu, gdyż wspólne przeżycia, przygody, refleksje, udane i nieudane przedsięwzięcia, coraz to bardziej zbliżają ludzi.

Było mi dane wielokrotnie widzieć wycieczki „Kosówki” w górach, w Tatrach i Beskidach, obserwować styl i poziom wycieczkowania i oprowadzania turystycznego rzemiosła w praktyce wędrowania. Miałem także wielokrotnie okazję stwierdzić, jak rozległą wiedzę o górach posiadają członkowie Klubu i z prawdziwą radością przekonywałem się, że wkraczali w coraz to wyższe kręgi wtajemniczenia. W ten sposób „Kosówka” dotarła do punktu, od którego zaczyna się najpiękniejszy etap rozwoju turystycznego —

piękna sztuka wędrowania. Im bowiem bogatsze i twórcze staje się wnętrze człowieka, tym piękniejsza sztuka wędrowania.

Oddajmy więc górą co ludzkie w najlepszym tego słowa znaczeniu, a one otworzą przed nami swoje tajemnice, ukryte przed tymi, którzy tylko „chodzą w góry”.

O ileż pełniejsze i bogatsze staną się przeżycia górskie, gdy damy górą wszystko, co jest w nas najlepsze. Twórczy umysł, głębię wzruszeń, siłę wyobraźni.

Urzeczeni górami

„...Kocham je. Patrzą na mnie zawsze jednokowe, zawsze jednako zimne i smutne — i zawsze wierne. Kocham je... Widzę wtenczas życie potęg i żywiołów natury, widzę jak szmer liści bukowych i smrekowego boru przepłata przez światło słoneczne, jak woń kwiatów górskich wnika w skały i wody, słyszę rozmowę chmur z odwiecznym gruzem szarych kotlin zapadłych...”

„...Kocham Tatry. Kocham ich pustkę i milczenie, ich martwość i spokój posępny. W ich mgłach błąka się myśl moja i szuka dawnych swoich wierzeń i miłości, uczuć i siły”.

Każdy z urzeczonych nieprzemijającym urokiem gór gotów jest przyjąć te wrażenia Kazimierza Tetmajera za swoje. Nic dziwnego, zrodziły się bowiem one z fascynacji światem górskim, której doznał ten Wielki Piewca Tatr. Nie on jeden został olśniony pięknem gór spośród tych, którzy się tam urodzili lub raz zawędrowali w Tatry czy inne góry i pogrążeni zostali w wiernym ukochaniu skał, lasów i potoków górskich. Poświęcili w tym ukochaniu wielu dni swego życia, a czasem i życie..

Z woli i pasji tych ludzi i dla ludzi im podobnych utworzone zostało 115 lat temu Towarzystwo, które było zawsze Polskim mimo, że zwało się różnie Galicyjskim, Tatrzańskim czy Turystyczno-Krajoznawczym. Łączyły te nazwy idee poznania i upowszechniania wiedzy o górach, uprzystępniania ich, ale jednocześnie ochronę ich piękna przed człowiekiem.

O ileż piękniejsze staną się wtedy same góry, które w zaufaniu powierzą nam również swe pozagórskie wartości. Staniemy się prawdziwymi ich współtwórcami.

Rad jestem, że mogę to powiedzieć na trzydziestolecie „Kosówki”, która obdarzyła mnie kiedyś zaszczytnym tytułem swego członka.

Władysław Krygowski

Idee, dzięki którym w majestacie gór człowiek może stać się lepszy moralnie, dojrzalszy duchowo, bardziej pożyteczny społecznie. Może stać się życzliwszy dla ludzi oraz obrońcą i sprzymierzeńcem przyrody.

Tacy ludzie ukształtowali się również w Łodzi, w mieście, które miało kiedyś opinię miasta złego, miasta bezdusznego i bezkompromisowego, bo miasta interesu, wyzysku, kontrastów społecznych.

Wśród wielu mieszkańców Łodzi i okolic zafascynowanych górami znajdują się nazwiska członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskie wielce zasłużonych dla turystyki górskiej, a wśród nich: Wacława Kowalewskiego, Adama Ferensa, Stanisława Szelągowskiego, Hermana Wendta, Kazimierza Jarocińskiego, Czesława Bajera, Mieczysława Gajewicza, Aleksandra Siemiradzkiego. Są jeszcze wśród nas Genowefa Lichocińska, Władysław Kałużny, Władysław Manduk, Kazimierz Hempel. Czerpiąc z ich doświadczeń, kształtowała się kadramiłośników gór w Łodzi, kadra, która w latach 1950 organizowała turystykę górską już w PTTK. Z inicjatywy Komisji Turystyki Górskiej Oddziału Łódzkiego PTTK, na czele której stał Wacław Szubert, a sekretarzem był Tadeusz Kielbasiński, odbyło się w dniu 12 kwietnia 1958 r. zebranie powołujące Klub Turystów Górskich. Klub ludzi, którzy też zostali zafascynowani górami i stali się spadkobiercami idei Polskiego Towarzystwa Tatrzańskie.

Dokonało się to w głównej mierze dzięki dwóm ludziom: „Wujciowi” i „Profesorowi”. „Wujcio” — Aleksander Siemiradzki, członek założyciel Klubu, pierwszy i wieloletni jego prezes i zawsze członek zarządu aż do chwili, gdy odszedł od nas na zawsze w 1976 r. Syn gór ze Stróż k. Gorlic, był członkiem PTT od 1933 roku. Po wielu latach wędrowki po górach (także jako partyzant w czasie II wojny) zawędrował do Łodzi. Stał się „duszą klubu”, niedoścignionym przewodnikiem, gawędziarzem, wspaniałym towarzyszem wycieczek promieniującym optymizmem i humorem.

Jakże odmienną, ale też wybitną dla życia Klubu postacią był „Profesor” — Mieczysław Gajewicz — najstarszy wśród nas. Urodził się w Łodzi w 1888 r. ale przez wiele lat mieszkał w Zakopanem, gdzie wstąpił do PTT. Geolog i taternik był dla nas już historyczną postacią turystyki górskiej, niezłomnym obrońcą przyrody, inspiratorem wielu szkoleń, propagatorem kultury turystycznej.

Do dzisiejszego dnia działają w Klubie dawni wieloletni członkowie PTT, na czele z Członkiem Honorowym PTTK i Klubu Wysokogórskiego, wybitnym taternikiem, wspaniałym fotografem Władysławem Mandukiem. Z niezłomnym bojownikiem o ochronę przyrody i krzewicielem kultury wycieczkowania Kazimierzem Hemplem i taternikiem, wieloletnim instruktorem Henrykiem Nardziakiem.

Dumni jesteśmy, że zaszczycił skromną listę członków honorowych Klubu Nestor polskiej turystyki górskiej Kolega Władysław Krygowski. Z Jego olbrzymiej wiedzy o górach czerpiemy nie tylko wiadomości o nich i historii turystyki górskiej, ale stał się On przede wszystkim dla nas Przewodnikiem Duchowym. Uczy nas w swych książkach i swych gawędach podczas spotkań klubowych „wspinaczki po tęczy” i nieprzemijającego do gór umiłowania.

Przewodnikiem na naszych szlakach szkoleniowych był, też tak silnie związany z górami, następny członek honorowy „Kosówki” Kol. Andrzej Łączyński.

Wielkim naszym Przyjacielem jest niezrównany organizator imprez turystycznych na szlakach górskich Czechosłowacji i wprowadzający swych kolegów w góry polskie Kol. Vaclav Rinn, którego członkowie „Kosówki” obdarzyli tytułem członka honorowego.

Pierwsze kroki w górach stawiałem w PTT; miałem szczęście być członkiem założycielem

„Kosówki” i jej wiceprezesem przy boku „Wujka”. Czworo następnych członków założycieli dotrwało w szeregach „Kosówki” do dnia dzisiejszego, są to: Wanda Fularska, Iwona Hoeflich oraz Eleonora i Stanisław Nowiccy.

W pierwszych latach życia klubowego przede wszystkim chodziliśmy po górach, nie zapominając jednak o szkoleniu się, łącznie z odbyciem przez wielu z nas kursu skałkowego. Podczas wędrowek upajaliśmy się pięknem gór i zawieraliśmy dalsze przyjaźnie.

W 1959 r. z mojej inicjatywy zorganizowany został pierwszy „Rajd Łysogóry Jesień”, który przetrwał do dziś i w 1988 r. odbędzie się jubileuszowy 30-ty. Uczestniczyliśmy też w organizacji sztandarowego dla Oddziału Łódzkiego rajdu „Łysogóry Wiosna”. Dużo pracy włożyło w to wielu członków Klubu, w tym Stasio Nowicki, Grzegorz Ulman, Witold Opasewicz, Romek Zieliński.

Po tym przyszła nowa fala zapaleńców, którzy między innymi zaczęli też nadawać bardziej sprecyzowane formy organizacyjne życia klubowego. Wśród nich Marek Trombski i Adam Chyżewski w 1969 roku rozszerzyli pierwszy regulamin Klubu zatwierdzony przez Zarząd Oddziału w 1963 r. Obydwaj byli po „Wujciu” także prezesami Klubu, Marek Trombski (obecnie członek honorowy „Kosówki”) od 1966 do 1970 r. a Adam Chyżewski w latach 1972—1974. W X Kadencji 1974—1977 prezesem był Grzegorz Ulman zaś w latach 1977 do 1982 Romuald Zieliński. Z woli członków Klubu „bacuję” zaś ja w „Kosówce” od 1982 roku do dnia dzisiejszego.

Do osiągnięć „Kosówki” na pewno można zaliczyć przeszkolenie w tym Klubie wielu turystów np.: ponad 30 przodowników TG, kilku przewodników górskich, kilkudziesięciu organizatorów turystyki, instruktorów, strażników przyrody itd. Dziesiątki tysięcy turystów, w tym bardzo dużo młodzieży prowadziliśmy po szlakach górskich podczas kilkuset imprez organizowanych w kraju jak i za jego granicami. Nawiązane zostały przez to przyjaźnie z turystyczną bracią naszych sąsiadów i rozsławiane dobre imię łódzkiej turystyki górskiej. Do utrwalenia kontaktów z turystami z CSRS przyczynili się przede wszystkim Janek Marusik i Andrzej Lesiński.

Poza górami Rumunii, Bułgarii, NRD i CSRS członkowie Klubu brali też udział w wyprawach w Alpy, Himalaje i na wulkany Indonezji. W 1986 roku Klub „Kosówka” zorganizował pod kierow-

nictwem Zbigniewa Ścibiorka dla 24 członków i Wyprawę w Himalaje w rejon Annapurny, a obecnie przygotowana jest przez Przemysława Wojciechowskiego II-ga w rejon Everestu. Jednocześnie trwają przygotowania wyprawy członków Klubu w Andy Argentyńskie pod kierownictwem Zbyszka Ścibiorka. Głównym celem wyprawy jest zdobycie najwyższego szczytu Aconcaguy a organizowana jest dla uczczenia 30-lecia „Kosówki” oraz I Polskiej Wyprawy w Andy z 1937 r.

Wspólne wędrowanie, wspólne przeżywanie niebezpieczeństw i zdobywanie szczytów górskich zbliża wędrujących. Tak rodzą i utralają się przyjaźnie, tak też było i jest w „Kosówce”. Jedną z cech życia klubowego jest możliwość dalszego utrwalania tych przyjaźni poza wędrowaniem, podczas spotkań klubowych i wypełnianie życia głębszymi przeżyciami kulturalnymi. Ilekć wzruszeń dostarczały nam wieczory przy świecach, kiedy wsłuchani w muzykę Karola Szymanowskiego czy Mieczysława Karłowicza przeżywalismy urok gór inaczej niż na wycieczkach. Tradycją stały się też spotkania towarzyskie w klubie — szczególnie coroczne zakończenie sezonu. Organizowanie życia towarzyskiego w Klubie też nie jest sprawą prostą. Dzięki zaś energii, pracy i talentom wielu Koleżanek i Kolegów, a wśród nich Stasia Wierzbowskiego, Tatiany Pawłowicz,

Joli Grońskiej, Janeczki Zimowskiej (członka honorowego „Kosówki”), Basi Stolarczyk, Romka Zielińskiego i Pawła Suwalskiego, spędziliśmy wiele pięknych i niezapomnianych godzin.

Do naszych wędrowek górskich przygotowujemy się zaś podczas ciekawych prelekcji, a przeżywamy te wędrowki jeszcze raz podziwiając piękno gór na barwnych przeźroczach. Poznajemy też, choć z opowiadań innych osób, kraje i góry których wielu z nas nie zobaczy pewnie nigdy. Organizatorami tych wieczorów jest od lat Adam Sulikowski, a prelegentami członkowie Klubu oraz zaproszeni goście. Ewa Hawlicka utrwała natomiast nasze życie klubowe w Kronice Klubowej.

W zadumie chylimy dziś czoła przed tymi Kolegami, którzy wiele trudu, czasu i serca wnieśli w kształtowanie życia naszego Klubu i niestety nie doczekali Jubileuszu 30-lecia tak drogiego 1m Klubu. Podczas wędrowek po górach i w czasie zebrań klubowych często wspominamy Stasia Wierzbowskiego, Zbyszka Marszałka, Hankę Król i Bohdana Andrzejewskiego. Jak grom z jasnego nieba spadła na nas niedawno wiadomość, że tragicznie w ukochanych przez Niego Tatrach zginął na Kościelcu Kol. Leon Wojciechowski.

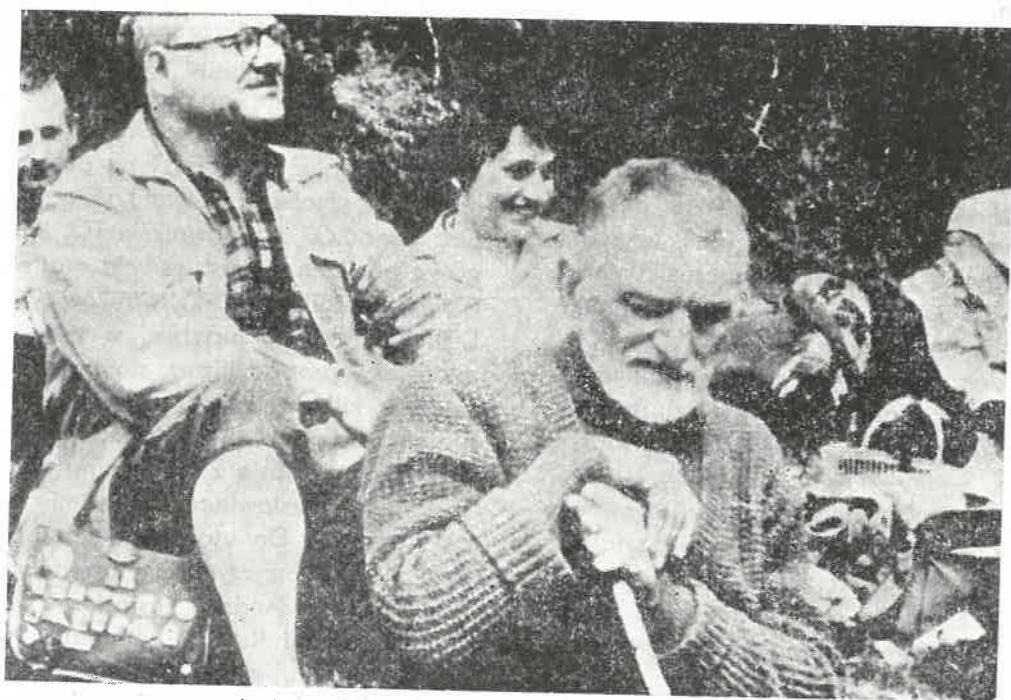
Najbardziej cieszy nas i sądzimy, że jest to największy sukces „Kosówki” iż od kilku lat przybiera nam młodych członków urzeczonych swia-

tem górskim. Wielu z nich bardzo czynnie włączyło się w organizację imprez turystycznych i pracę Zarządu Klubu jak np.: Maria Lisowska, Maria Więciorska, Elżbieta Korczak i Elżbieta Olszewska, Ola Renkawk, Dorota Witkowska, Jurek Chojnacki, Włodek Rakowiecki, Marek Jagura, Jan Olszewski.

Kształtuje się kadra naszych następców, którzy od nas już weteranów klubowych, przejmują

nie tylko wiedzę o górach, ale i ich umiłowanie. Oni bowiem już też widzą „jak szmer liści bukowych i smrekowego boru przeplata przez światło słoneczne, jak woń kwiatów górskich wnika w skały i wody, słyszą rozmowę chmur z odwiecznym gruzem szarych kotlin zapadłych...”

Lechosław Fularski
Prezes KTG „Kosówka”



Prof. Mieczysław Gajewicz i „Wujcio” Siemiradzki

fot. archiwum



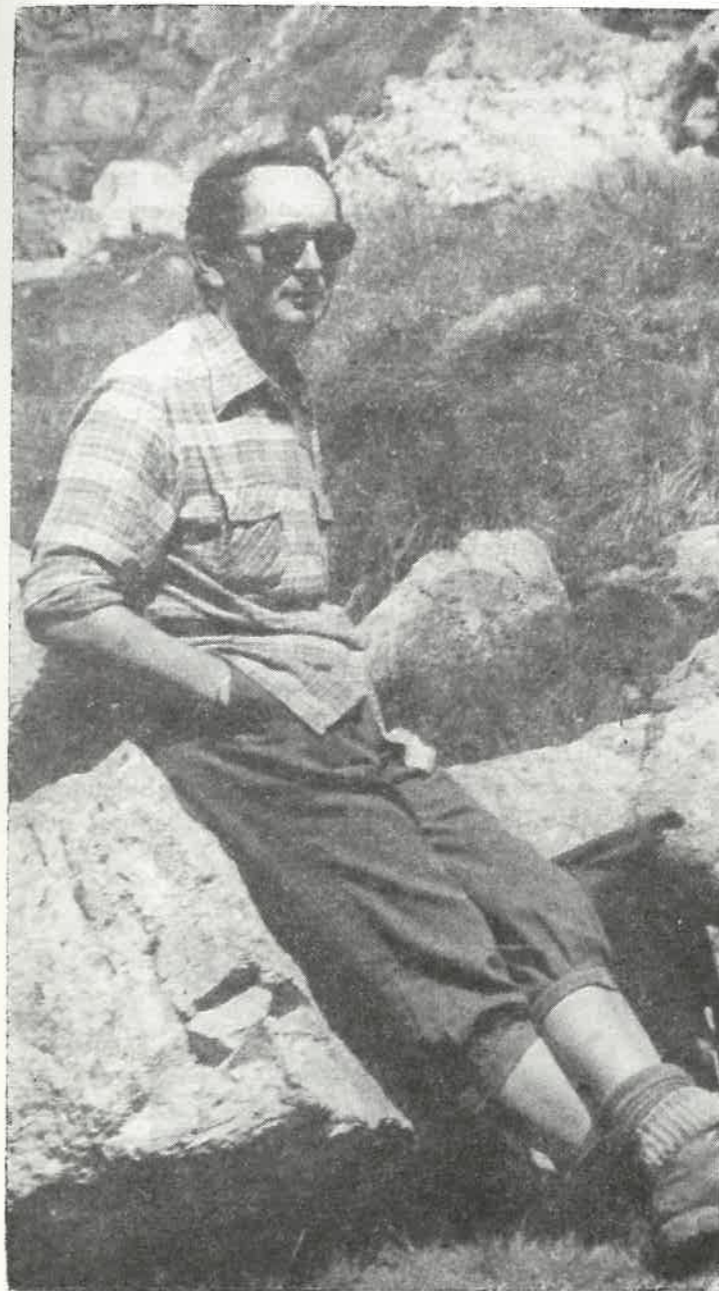
Lechosław Fularski



Aleksander Siemiradzki i Marek Trombski



Adam Chyżewski



Grzegorz Ulman



Romuald Zieliński

fot. ze zbiorów Klubu

Rajdy „Łysogóry – Jesień”

W rok po powstaniu Klubu Turystów Górskich zorganizowano jesienny rajd w Górach Świętokrzyskich pod nazwą: Łysogóry — Jesień. Ideą przewodnią tej imprezy było pożegnanie letniego sezonu turystycznego w wędrówce po górach położonych najbliżej Łodzi, przy jednoczesnym poznaniu uroku Ziemi Kieleckiej, jej przyrody, zabytków i bogatej historii — tej najdawniejszej i tej najnowszej. W rajdzie tym wzięło udział 312 uczestników. Impreza była tak udana, że powtórzono ją w roku następnym, a potem... a potem nie było odwrotu, Jesienny Rajd w Górach Świętokrzyskich wszedł na stałe do kalendarzyka imprez ogólnopolskich. W roku 1988 odbędzie się kolejny jubileuszowy „XXX Rajd Łysogóry — Jesień 1988”.

Bardzo dobra organizacja rajdu i stałe jej doskonalenie przyczyniły się do szybkiego wzrostu liczby uczestników — osiągając a nawet przekraczając optymalne możliwości wszystkich zgłoszeń. Na przykład w 1973 r. w rajdzie wzięło udział 1529 uczestników na 9 trasach przy 43 osobach obsługi. Aktualnie w rajdach bierze udział około 800—1000 uczestników.



Wśród świętokrzyskich dróg i bezdroży

fol. Jolanta Grońska

Cechą charakterystyczną rajdu jest wysoki udział młodzieży, zarówno ze szkół średnich jak i podstawowych (ostatnie klasy). O ile w pierwszych rajdach udział młodzieży nie przekraczał 40% to w późniejszym okresie udział ten systematycznie wzrastał, osiągając obecnie ponad 90% — głównie ze szkół woj. łódzkiego tj.:

I LO im. M. Kopernika, IV LO im. E. Szczanieckiej, VIII LO im. A. Asnyka, XV LO im. J. Kasprówicza, XXIV LO im. M. Skłodowskiej-Curie, XXX LO im. J. Krasickiego, Liceum Ekonomiczne Nr 3 oraz I LO im. St. Staszica ze Zgierza.

Najczęściej reprezentowane szkoły podstawowe to: Nr 7, 10, 51, 120, 137, 154, 173 i 183.

Wielu uczniów, a szczególnie z LO im. A. Asnyka pod kierownictwem prof. W. Krawczyka, czynnie wspomagało organizację rajdów.

W organizacji rajdów wprowadzono wiele nowych pomysłów mających na celu ich uatrakcyjnienie jak i lepsze samopoczucie uczestników i tak:

— organizowano konkursy wiedzy obejmujące: historię, geografę, topografię, kulturę, och-



Znaczki rajdowe



- ronę środowiska na obszarze na którym odbywały się rajdy;
- oceniano przygotowanie turystyczne (wyposażenie, zachowanie się na trasie, prace społeczne itp.);
 - nagradzano 3 najlepsze drużyny na trasie a najlepsza drużyna na rajdzie zdobywała „Puchar Rajdu”;
 - zorganizowano specjalny pociąg rajdowy, co znakomicie ułatwiło dojazd i przyjazd na trasie Łódź—Kielce;
 - zorganizowano punkt weryfikacji zdobytych punktów na GOT;
 - organizowano wspólne spotkania uczestników rajdu, tras, przy tradycyjnych ogniskach z występami uczestników;
 - organizowano spotkania z zasłużonymi ludźmi dla regionu kieleckiego, itp.;
 - organizowano obsługę medyczną uczestników rajdu.

Dobra organizacja rajdów i ciągłość tej imprezy to zasługa działaczy naszego Klubu. Ich pełna zapała, społeczna praca zasługuje na najwyższe uznanie.

30 rajdów to 30 ich kierowników i wielokrotnie więcej kierowników tras, obsług kierownictwa



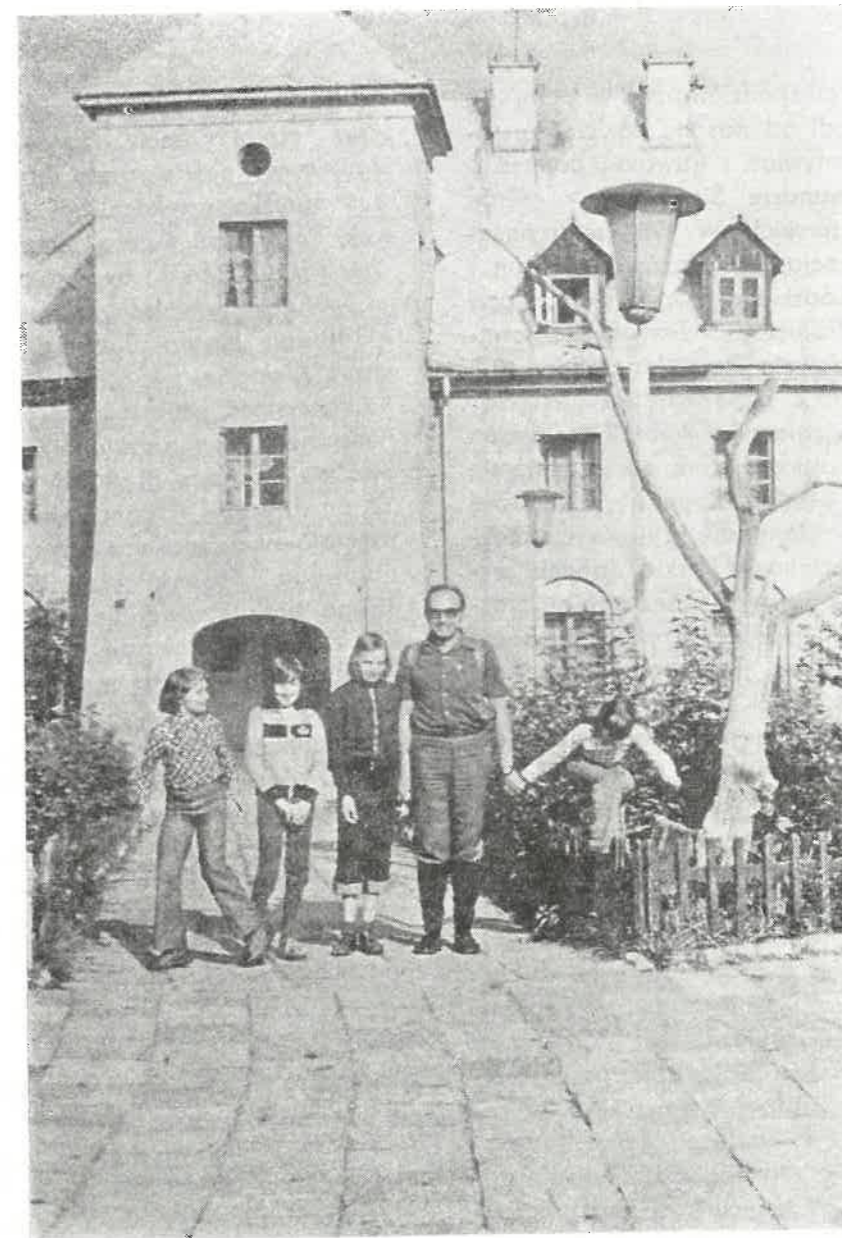
Staszek Nowicki jako kierownik rajdu

fot. archiwum

rajdów, tras, lekarze, obsługa pociągów itp. Chronologicznie ujmując kierownikami rajdów byli kolejno:

I rajd 1959 r. — Lechosław Fularski, 1960 r. — Lechosław Fularski, 1961 r. Stanisław Nowicki, 1962 r. — Adam Chyżewski, 1963 r. — Zbigniew Marszałek, 1964 r. — Marek Trombski, 1965 r. — Ryszard Kopka, 1966 r. — Jędrzej Lelonkiewicz, 1967—1969 r. — Stanisław Nowicki, 1970 r. — Adam Chyżewski, 1971—1980 r. — Stanisław Nowicki, 1981 r. — Adam Chyżewski, 1982 r. — Roman Zieliński, 1983 r. — Roman Zieliński, 1984 r. — Bohdan Andrzejewski, 1985 r. — Przemysław Wojciechowski, 1986 r. — Przemysław Wojciechowski, 1987 r. — Witold Opasewicz.

W organizacji i obsłudze rajdów wielokrotnie brali udział Kol.Kol.. Bohdan Andrzejewski, Janina Brycht, Czesław Bolanowski, Mirosława i Włodek Bartczakowie, Małgorzata Celeda, Maria Celuch, Jacek Ciesielski, Izabela i Adam Chyżewscy, Jolanta i Krzysztof Grońscy, Ewa Hawlicka, Zofia Keppe, Anna Król, Andrzej Lesiński, Maria Lisowska, Eugeniusz Małafiej, Zbigniew Marszałek, Jan Marusik, Henryk Nadziakiewicz, Eleonora Nowicka, Witek Opasewicz, Tatiana Pawłowicz, Józef Sowała, Zygmunt Stacho-



Marek Trombski z młodzieżą na jesiennym rajdzie świętokrzyskim fot. Jolanta Grońska

wicz, Ryszard Sobczyński, Paweł Suwalski, Krysztyna i Grzegorz Ulmanowie, Stanisław Wierzbowski, Romuald Zieliński.

30 Rajdów poza nami — czy będą następne? Zmieniła się Ziemia Kielecka, coraz trudniej o noclegi — wieś drewniana przekształca się w murowaną (to dobrze) — rozwija się przemysł,

powstają cementownie (to bardzo źle) — niszczy przyroda, ginie Puszcza Jodłowa — co dalej?

Stanisław Nowicki

Rajd imienia Wujcia

Od chwili, gdy niespodziewanie, w pełni sił, w 1976 roku odszedł od nas na zawsze, zastanawiałem się jak ożywiać i utrzymywać pamięć o „Wujciu” — Aleksandrze Siemiradzkiem, wśród łódzkich turystów górskich. W 1983 roku nasunęła mi się koncepcja, by „Kosówka” razem z Kołem PTTK Nr 1 Łódzkiego Oddziału PTTK przy Biurze Studiów i Projektów Przemysłu Papierniczego zorganizowała Rajd Jego imienia w Beskidzie Sądeckim. Z regionem tym „Wujcio” był bowiem bardzo związany. Wybraliśmy termin trochę nietypowy, bo październik, ale okazało się to trafieniem w dziesiątkę. Pogoda w pierwszej dekadzie jest zawsze słoneczna, a niezwykle piękny i krajobrazowo ciekawy Beskid Sądecki wygląda wprost czarująco w jesiennej szacie i blaskach słońca. Z wielu miejsc widokowych unoszą się też nad horyzontem już w szacie zimowej wspaniałe Tatry. Ustalono, że wszyscy uczestnicy spotkają się przy ognisku na Łabowskiej Hali. W miejscu, o którym „Wujek” opowiadał, jak często przekradał się z Piwnicznej jako partyzant.

W I Rajdzie Sądeckim im. Aleksandra Siemiradzkiego „Wujcia”, w dniach od 13 do 16 października 1983 r., brało udział na czterech trasach 123 uczestników. Wśród nich była najbliższa rodzina „Wujcia”: synowie Jerzy i Olek, wnuczka Jurek, Ania i Konrad oraz 41 członków „Kosówki” i 29 członków Koła PTTK Nr 1. Przypadł mi zaszczyt, że byłem kierownikiem pierwszych pięciu rajdów, a zastępcą moim był prezes Koła Nr 1 Zbigniew Bestecki. Podczas ogniska wspomniano o „Wujciu”, a uczestnicy otrzymali Jego życiorys z fotografią. W schronisku na Łabowskiej Hali wisiała zaś plansza z fotografiami „Wujcia”. Uczestnicy Rajdu zobowiązali Zarząd „Kosówki” do wystąpienia do Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK o nadanie szlakiowi turystycznemu Piwniczna — Łomnica — Łabowska Hala — Łabowa imienia Aleksandra Siemiradzkiego.

W dniach od 11 do 14 października 1984 r. II Rajd Sądecki przebiegał na pięciu trasach. Pierwszy raz udział brała 12-osobowa drużyna turystów z Czechosłowacji pod kierownictwem kol. Vaclava Rinna. Wędrowali oni trasą ośmio-

dniową od 6 do 13 października prowadzącą przez Tatry i Pieniny, Gorce i Beskid Sądecki. Ogółem w Rajdzie wzięło udział 137 osób. Podczas ogniska przekazaliśmy uczestnikom propozycję Podkomisji Kultury i Historii Turystyki Górskiej KTG ZG PTTK, by zamiast nazwania szlaku im. „Wujcia” umieścić stosowną o Nim tablicę w Muzeum Historii Turystyki Górskiej na Jaworzynie Krynickiej.

Uroczystość umieszczenia tablicy z życiorysem Aleksandra Siemiradzkiego i Jego fotografią odbyła się podczas III Rajdu Sądeckiego w dniu 12 października 1985 r. Kierownictwo Rajdu otrzymało okolicznościowe pisma od członka honorowego „Kosówki” kol. Władysława Krygowskiego oraz Przewodniczącego Podkomisji KTG ZG PTTK kol. Edwarda Moskały. Udział w uroczystości brali między innymi synowie i wnuczka „Wujcia”, kol. Jadwiga Polańska — przedstawiciel Podkomisji KTG, kol. Danuta Lorens — sekretarz Zarządu Oddziału PTTK w Krynicy oraz członkowie honorowi „Kosówki”: kol.kol. Janina Zimowska i Marek Trombski. W Rajdzie tym ośmiodniowa trasa dla turystów z CSRS rozpoczęła się w Barwinku i biegła przez Duklę, Beskid Niski i Beskid Sądecki. Ogółem wzięło udział na ośmiu trasach 146 osób w tym 12 z CSRS, 43 członków „Kosówki” i 20 z Koła PTTK Nr 1.

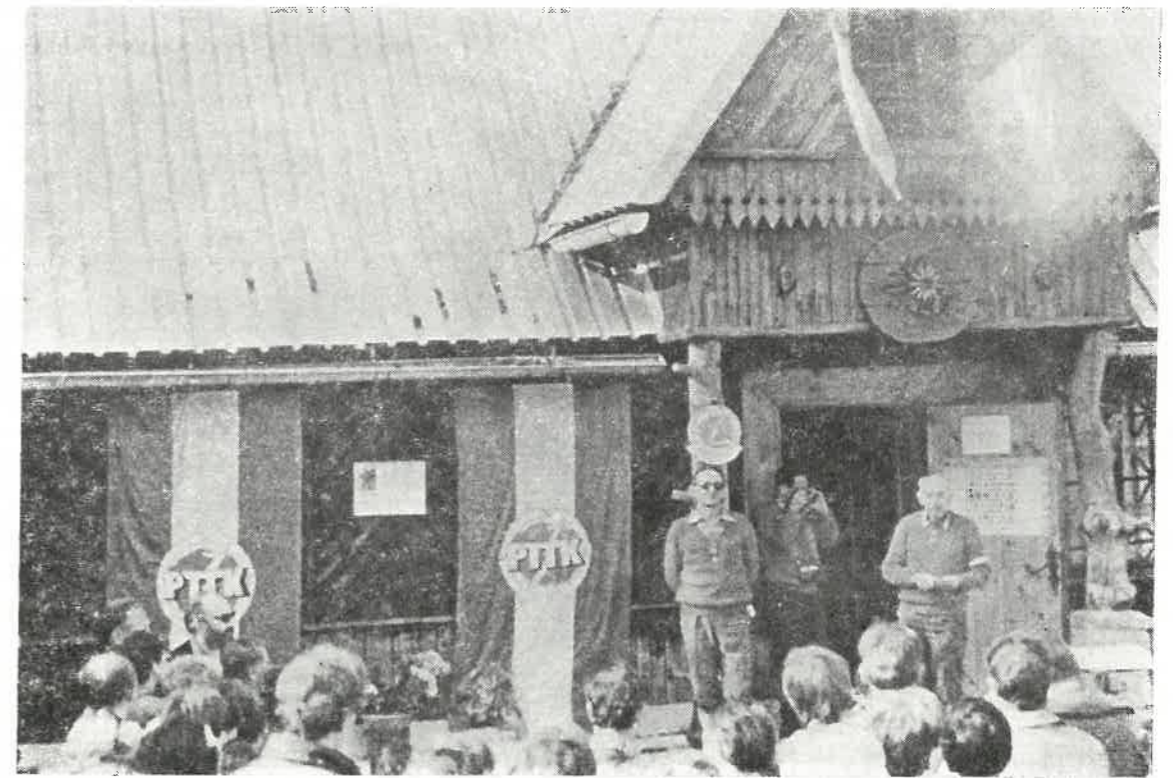
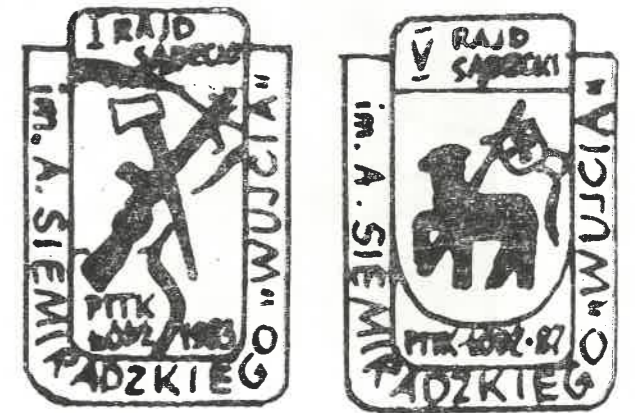
Ze względu na duże zainteresowanie Rajdem i zgłoszenia się siedmioosobowej drużyny z Akademii Nauk NRD z Berlina, IV Rajd „Wujcia” w 1986 r. przebiegał już na dziewięciu trasach i brało w nim udział 191 osób. Turyści z CSRS przekraczali granicę w Chyżnym i wędrowali od Rabki przez Gorce i Pieniny do Beskidu Sądeckiego. Turystom z NRD pokazaliśmy Kraków, a dalej wędrowali oni podobną trasą jak ich koledzy z CSRS. Zorganizowana też została po raz pierwszy specjalna trasa dowolna dla członków „Kosówki” z noclegami w Krynicy. Udział w Rajdzie brały też liczące 83 osoby drużyny młodzieży szkolnej z Łodzi oraz drużyna 10-osobowa z Lublina.

W 1987 roku wyruszyli turyści górscy na dziewięć tras V Rajdu Sądeckiego w dniach od 3 do 11 października. Udział wzięło 206 uczestników

w tym 23 turystów z CSRS i 13-tu z NRD. Obie trasy ośmiodniowe przebiegały przez Kraków, Nowy i Stary Sącz oraz Beskid Sądecki do Krynicy. Poza tymi trasami jak co roku były trasy trzy i czterodniowe po Beskidzie Sądeckim oraz rozpoczynające się w Pieninach i Beskidzie Niskim. Jak w rajdach poprzednich, tradycyjnie jedna trasa prowadzona była przez działaczy Koła PTTK Nr 1 dla członków tego koła. „Kosówka” też miała swoją trasę. Jubileuszowy już Rajd znalazł się w Informatorze Imprez Centralnych ZG PTTK.

Rajd „Wujcia” stał się już rajdem popularnym wśród członków „Kosówki” i Koła PTTK Nr 1, co na pewno sprawiłoby „Wujciowi” dużą radość. Turyści zagraniczni podkreślają dobrą organizację i bardzo sympatyczną atmosferę. Jest to na pewno związane przede wszystkim ze wspaniałym krajobrazem i dobrą pogodą, ale też w dużym stopniu zależne jest od kierowników tras i ich obsługi. Trasy dla turystów z CSRS prowadzą przemienne Andrzej Lesiński i Przemysław Wojciechowski, a dla kolegów z NRD Elżbieta Korczak. Trasy Koła PTTK Nr 1 wiódł kol. Adam Arndt, zaś trasy dowolne „Kosówki” Stanisław

Nowicki. Wzorowo funkcję skarbnika w trzech rajdach pełnił nieodżałowany Stasio Wierzbowski, a sekretarzowała Małgosia Celeda, która też przejęła rolę skarbnika. Dziwne, ale kierownik rajdu miał dwie prawe ręce, ds organizacyjnych Zbyszka Besteckiego i szefa tras Marysię Lisow-



III Rajd Sądecki — X 1985 Odświeżenie tablicy Wujcia w Ośrodku Kultury Turystyki Górskiej na Jaworzynie Krynickiej
fot. Jolanta Grońska



III Rajd Sąddecki — X 1985 (od lewej stoją: Zygmunt Stachowicz, Vaclav Rinn, Jaroslav Březina, wnuczka Wujka (Ania i Konrad), syn Wujka — Olek, Grzegorz Ulman, nad nim drugi syn Wujka — Jerzy)
fot. Jolanta Grońska

ską. Niemordowanie punkt weryfikacyjny GOT podczas rajdu obsługiwał kol. Zygmunt Stachowicz. Ogółem w pięciu rajdach udział wzięło ponad 800 osób, których na 34 trasach obsłużyło łącznie 79 działaczy.

Jest to wielkie nasze zadanie, które radośnie spełniamy dla zachowania pamięci założyciela i pierwszego prezesa „Kosówki” i Koła PTTK Nr 1.

Lechosław Fularski



V Rajd Sąddecki — X 1987 przy ognisku

fot. archiwum

Nasze kontakty

Trudno mi ustalić ile razy byłem w Polsce, ale żywo pamiętam niektóre z moich licznych pobytów.

Pierwszy raz w Waszym kraju byłem w 1960 roku na rajdzie w Bieszczadach i mieliśmy wtedy okazję poznać z bliska polską turystykę rajdową. Wówczas forma ta w Czechosłowacji była nieznaną. Udało mi się uczestniczyć w spływie kajakowym po rzece Brdzie, a w następnym roku 1965 kajakowałem po Czarnej Hańczy.

Zawsze spotykaliśmy się z serdecznością i wzajemnie się rozumieliśmy i dlatego nasze kontakty utrwały się. Były to jednak spotkania sporadyczne i w wąskim gronie osób. W 1970 roku byłem związany z organizowaniem wielkiej imprezy turystycznej pod nazwą „Cesky Kvadrant”. Na starcie powitaliśmy dwóch Polaków z Łodzi: Aleksandra Siemiradzkiego i Witolda Opasewicza. I tak zaczął się burzliwy rozwój naszych

wzajemnych kontaktów. Od tej pory z każdym rokiem wzrastała liczba członków „Kosówki”, którzy uczestniczyli w naszych rajdach. Przyjeżdżali również Polacy z innych organizacji turystycznych, do których dotarła wieść o Ceskim Kvadrancie.

W następnych latach współpraca rozszerzała się i nasi turyści zaczęli przyjeżdżać do Polski. W tym okresie byliśmy czterokrotnie na „Rajdzie Wujcia”, dwa razy na „Wędrówkach Północy” a dzięki wydatnej współpracy 136 turystów czechosłowackich mogło poznać Łódź, Warszawę i wiele innych pięknych miast w Polsce. A jakie są wyniki tych turystycznych kontaktów?

Dla uczestników Interkvadrantu 1986 Łódź okazała się nie tylko wielkim, przemysłowym miastem, a stała się bliska dzięki naszym przyjaciołom ze wspólnych wędrówek turystycznych: L. Fularskiemu, A. Lesińskiemu, J. Marusikowi, G.



III Czeski Kwadrant (1972) — w środku Witek Opasewicz, obok (w przebraniu) Romek Zieliński i Czesi
fot. archiwum



III Czeski Kwadrant (1972) — od lewej: Jola i Krzysztof Grońscy, Jan Marusik, Tomek i Leszek Fularscy, Adam Chyżewski i Stasio Wierzbowski
 fot. archiwum

Ulmanowi, P. Wojciechowskiemu, A. Krawczykowi, R. Zielińskiemu i wielu innym, których często spotykaliśmy na trasach Czechosłowackiego Kwadrantu.

Dzięki Wam nawiązaliśmy przyjacielskie kontakty z turystami Wrocławia, Elbląga, Bydgoszczy, Szczecina i Suwałk. Poznaliśmy wielu życzliwych i miłych Polaków, Wasz Kraj, uczymy się Waszego języka, podoba się nam Wasz temperament, a my przyjeżdżając do Was często, uważamy Polskę za nasz dom. Sądzymy, że i Wam ta współpraca odpowiada i wielu z Was zna już dobrze nasz kraj.

Życzę Klubowi „Kosówka” aby w dalszym ciągu miał sukcesy turystyczne, jak ma obecnie.

Dla mnie Polska jest bliska sercu. Dzięki Wam,

mili przyjaciele, za wszystko co przyczyniło się do naszych więzi turystycznych.

Studnice, maj 1987.

Vaclav Rinn

Turystyka nie zna granic

Po raz pierwszy górale z „Kosówki” wzięli udział w Czeskim Kwadrancie w sierpniu 1970 r. jeszcze przed podpisaniem oficjalnej umowy o wymianie bezdewizowej pomiędzy Czeskim Związkiem Turystów a Oddziałem Łódzkim PTTK. Aleksander Siemiradzki „Wujek” i Jan Marusik przeszli trasy górskie Karkonoszy, Gór Izerskich i Łużyckich. Nazwa „Czeski Kwadrant” pochodziła od liczby 4 lat, w ciągu których planowano przejście wokół granic Czech (przeważnie górkami pasmami). Każdego roku organizowano 2 części imprezy: trzydniową na wiosnę i siedmiodniową w sierpniu. Brałiśmy przeważnie udział w dłuższej, letniej części.

W II Czeskim Kwadrancie na trasie Chomutov—Franciszkovce i Mariánské Lázně — Cheb — Domažlice, startowaliśmy w grupie 10 osób. Zwiedzanie Zachodnich Czech i słynnych uzdrowisk było dużą atrakcją. Na III Kwadrancie (1972) na trasę Domažlice—Znojmo, biegnącą górkami szlakami rzadko odwiedzanej przez Polaków Szumawy oraz ze zwiedzaniem Pragi i Brna, zgłosiło się już 30 osób. Wyjechało nas do Pragi różnymi środkami lokomocji 21 osób. W Domażlicach okazało się, że Kwadrant to: „etapowy dalekawy pochod” czyli 9 dni chodzenia 35—50 km dziennie, z punktami kontrolnymi, na których potwierdzano przejście danego odcinka trasy (plecakami wozili organizatorzy) z intensywnym dożywianiem na trasie — parówkami w hostincach i marchewką z chlebem w marszu! Był to dla nas inny rodzaj turystyki, wiążący się ze sportem i wyczynem, a znacznie mniej z krajoznawstwem. Okazało się również, że trasę imprezy przesunięto z gór Szumawy na podgórskie szosy. Po przejściu 36, a następnego dnia 48 km część uczestników doszła do wniosku, że należy mniej czasu poświęcić na chodzenie po szosach, a znacznie więcej na turystyczne zwiedzanie bardzo interesujących południowych Czech. Dzięki temu byliśmy w Czeskich Budziejowicach — tropem Szwejka, w pałacu w Hlubokiej, Rožemberku i czeskim Krumlowie. Na ostatni, IV etap w 1973 r. na trasie Znojmo—Brzeclaw, pograni-

czem Czech i Moraw, pojechało już tylko siedmiu najambitniejszych chodźców.

Po rocznej przerwie w 1975 r. rozpoczął się Czechosłowacki Kwadrant. W stosunku do poprzedniej imprezy zmieniło się bardzo wiele. Głównym organizatorem (aż do dziś, a w planach do roku 2000) został Vaclav Rinn, z którym nas łączą wieloletnie bliskie kontakty — to honorowy członek Klubu Turystów Górskich „Kosówka”. Imprezę przewidziano na 8 lat. W tym okresie zaplanowano przebycie całej długości granicy Czechosłowacji (5 tysięcy kilometrów) różnymi sposobami: na rowerze, pieszo, kajakiem i na nartach.

W związku ze zmianą regulaminu Kwadrantu, który to regulamin nie spełnił oczekiwań członków naszego Klubu, organizowaliśmy wyjazdy do Czechosłowacji na kilkudniowe imprezy. Wyjeżdżaliśmy do półn.-wschodnich Czech (okolice Nachodu i Hradca Králové), Czeskiego Krumlova i Pragi.

Jednak już w 1977 r. delegacja Zarządu Klubu w składzie: Janka Brycht-Žurek, Romek Zieliński i piszący te słowa, wzięła udział w kolarско-pieszym Kwadrancie w Słowacji. Udało nam się zwiedzić najciekawsze rejony południowej i wschodniej Słowacji, z przejściem znacznej części Rudaw Słowackich. W tym właśnie roku Kwadrant rowerowy zawędrował na Węgry. Wtedy też uzgodniliśmy, że w ciągu dwóch następnych lat zorganizujemy etap Kwadrantu w Polsce.

Rok 1978 był znów rokiem „rowerowym” i dzięki temu mogliśmy pokazać 82-osobowej grupie kwadrantowiczów uroki południowo-wschodniej Polski: 6 dni na trasie Barwinek — Bieszczady — Przemyśl — Dukla. A atrakcji było dużo: stojący dokładnie pośrodku drogi (nie oddanej jeszcze, ale już używanej) słup telefoniczny, przejście głównych szczytów Bieszczad z Haliczem i Połoniną Caryńską, żubry na ścieżce pod Bukowym Berdem, „zaliczenie” sąsiedniego kraju podczas przejazdu koleją Ustrzyki Dolne — Przemyśl. Polską część imprezy zorganizowaliśmy bez większych przeszkód mimo deszczowej

pogody, która zmusiła nas do rezygnacji ze spania w namiotach i umieszczenia uczestników w szkole w Rzepedzi.

W następnym roku Kwadrant był wysokogórski, w Wysokich i Zachodnich Tatrach. Dla 100-osobowej grupy Czechów przewidzieliśmy noclegi w szkole podstawowej w Zakopanem. W maju załatwiliśmy wszystkie formalności z dyrektorką szkoły. Po przyjeździe do Zakopanego okazało się, że szkoła jest w remoncie, o czym jednak zapomniano nas poinformować. Pomimo wielu starań nie udało nam się nic załatwić. Poskutkowało dopiero wizyta u I Sekretarza KM PZPR. Noclegi były w szkole w Poroninie, w znacznie gorszych warunkach higieniczno-sanitarnych, ale jednak były.

Problemy mieliśmy nie tylko my, gościom z CSRS nie udało się przekroczyć granicy w Niedzicy (pomimo wcześniejszych ustaleń), a dopiero w Łysej Polanie. Ze splotu Dunajcem nic nie wyszło, ale wynagrodziła to piękna pogoda na Ciewonicie, Świnicy i w Morskim Oku. Jednak w dalszej części Kwadrantu w Tatrach Słowackich uczestniczyliśmy bez przeszkód. Szkoda, że uczestniczyła niewielka grupa osób z Klubu.

W następnych kilku latach frekwencja członków „konkurencyjnego” Klubu „Świstak” była większa niż z „Kosówki”. A trasy prowadziły przez tereny bardzo interesujące:

- w 1980 r. — Karkonosze, Czeski Raj do Pragi — na Spartakiadę, po opłaceniu 50 koron staliśmy się jej uczestnikami. Oprócz pokazu na Strachowie, bezpłatne przejazdy komunikacją miejską (metro) i bezpłatne wstępy do wszystkich muzeów w Pradze.
- w 1981 r. — łańcuchy górskie Niżnych Tatr, Małej i Wielkiej Fatry, Sulowskich Skał i Bańska Bystrzyca z Muzeum—Mauzoleum Powstania Słowackiego.
- w 1982 r. — kończącym cykl wędrówki, z Żyliny, przez Jaworniki, Beskid Śląski (Stożek, ale i Łysa Góra), Jesioniki z Pradziadem, Góry Orlickie, do Studnic gdzie na uroczystym zakończeniu były makrele z rożna, piwo z beczek i zespół ludowy z Moraw.

Po rocznej przerwie w 1984 roku, rozpoczął się nowy cykl Czechosłowackiego Kwadrantu, budzącego szerokie zainteresowanie. Spowodowane to było zmianami w charakterze imprezy; dalsze ułatwienia dla uczestników (tylko 8 dni), trasy do wyboru łatwe i średnio trudne, jak i

dzięki uzyskaniu w BTZ statusu imprezy zagranicznej turystyki kwalifikowanej, możliwość otrzymania koron bez obciążenia własnego limitu dewizowego. A i tereny były bardzo ciekawe:

- 1984 — Słowacki Raj, Słowacki Kras i Koszyce.
- 1985 — kolejna Spartakiada w Pradze, Czeska i Saska Szwajcaria, Drezno.
- 1986 — południowo-wschodnie Morawy-Słowacja, Brno i Bratysława.

Tylko dzięki sile argumentów organizatorów, udało się nam, przekraczając na pewno przepisy graniczne, mieszkając w Czechosłowacji dojeżdżać do NRD przez trzy kolejne dni dla zwiedzania skalnych miast, twierdzy Königstein i Drezna. A potem były mało znane w Polsce a niezmiernie interesujące rejony Moraw, ze słynnymi wykopaliskami paleolitycznymi, zamkami, pałacami. A wieczorem w „sklepie” — autentycznej piwnicy z domowym morawskim winem, odbyła się uroczystość 50-lecia urodzin Ladia Salczaka.

Organizatorom Kwadrantu tak się spodobały wizyty w Polsce i na Węgrzech, że w 1984 roku, rozpoczęto nowy cykl imprez — Interkwadrant, organizowany co rok w innym kraju socjalistycznym. W 1984, były kajaki i rowery na Węgrzech, w 1985 — rowery w NRD, w 1986 roku przyszła kolej na Polskę. Byliśmy współorganizatorami tej imprezy, pozwalającej 150-osobowej grupie z Czech, Moraw i Słowacji zapoznać się z wieloma naszymi atrakcjami turystycznymi. Pokazaliśmy Łódź, Żelazową Wołą i Warszawę, a koledzy z Elbląga i Suwałk — Gdańsk, Warmię i Mazury w rajdzie rowerowym, a Czarną Hańczę i Jeziora Augustowskie w „rejsie kajakowym”.

Współpraca na tym się nie kończy, w 1987 roku wzbieramy się dużą grupą w góry Wschodniej Słowacji. Również w tym roku spodziewamy się gości z zagranicy na V Jubileuszowym Rajdzie „Wujcia” w Beskidzie Sądeckim.

Andrzej Lesiński

Rumunia 1977

Wczesny ranek 31 lipca 1977 roku był w Dukli zimny i deszczowy. Uczestnicy pierwszej w Klubie zagranicznej wyprawy autokarowej byli jednak mile podnieceni, czemu nie przeszkadzała nawet olbrzymia kolejka samochodów na przejściu granicznym w Barwinku. Zostawialiśmy bowiem za sobą kilkumiesięczne przygotowania do wyjazdu, dokonane wyłącznie przez członków Klubu.

Wybrano trzy główne regiony turystyczne: pasmo Gór Rodańskich, Góry Kelimeńskie oraz szlak cerkwi mołdawskich w okolicach Suczawy. O wyjeździe w ten północny region Rumunii zdecydowała przede wszystkim chęć poznania choćby części Karpat Wschodnich, opisywanych wielokrotnie we wspomnieniach turystów sprzed wojny. Góry Rodniańskie dawały nadzieję na znalezienie „gór z tamtych czasów” — północną granicą horyzontu miała być przecież Czarnohora.

Wyprawa, pionierska w Klubie, miała również cele organizacyjne, jak np.:

- poznanie warunków i możliwości organizowania obozów górskich w Rumunii,
- sprawdzenie kwalifikacji górskich członków Klubu w innych warunkach od tych, które w Polsce zapewnia bardzo gęsta sieć dróg i szlaków.

Skład wyprawy umożliwił spełnienie tych oczekiwań, ponieważ wśród 38 uczestników było 32 doświadczonych turystów klubowych, w tym 7 przodowników turystyki górskiej.

Pierwsze obozowisko rozbiliśmy w pobliżu Borsy — centrum administracyjnego północnej części Gór Rodniańskich. W ciągu 5 dni odbyto 4 wycieczki piesze i jedną autokarową, do zabytkowego cmentarza we wsi Sapinte. Wycieczki górskie rozpoczęto od Cearcanaule w Górach Marmorskich, a potem w Górach Rodniańskich:

- otoczenie obozowiska w Borsa Complex trasą przez Cabana (schr) Puzdrela i Przeł. Prisolp,
- z Borsy na Petrosul Mare (2305) — najwyższy szczyt pasma,
- z miejscowości Rotunda na wschodnim krańcu pasma na Ineul (2280) z zejściem do Gura Lalei przy szosie z Borsy do Suczawy.

Szczególnie ta ostatnia była okazją do zapoznania się z innymi niż w Polsce odległościami

w górach. Dojście na szczyt wymagało pokonania ok. 23 km, głównie grzbietem ze wspaniałymi widokami i bez żadnych śladów działalności ludzkiej. Towarzyszyły nam jedynie stada swobodnie pasących się koni, na wpół zdziczałych. Zejście do szosy opuszczoną doliną potoku to dodatkowe 15 km drogi.

Drugą grupę górską — powulkaniczne Kelimeny — poznawaliśmy z obozowiska w Gura Haiti, znakomicie położonego w centrum półkolistego łańcucha grzbietów. Dwie duże wycieczki — Gura Haiti — Pietriceul (1981) — Pietrosul (2102) — Pietrele Rosi (1519) — Gura Haiti, oraz — Gura Haiti — Retitis (2021) — Caliman Izvor (2083) — Calimanul Cerbului (2015) — Gura Haiti,

pozwoliły na przejście dzikim terenem przeważającej części tych gór. Poganiani burzą na Pietrosulu przebyliśmy bez ścieżki duże pole wysokiej kosówki, co dla większości uczestników było pierwszym tego rodzaju doświadczeniem górskim — długo potem wspomnianym.

W krajoznawczej części wyprawy poznano Suczawę z zachowanymi śladami dawnych wpływów polskich w Mołdawii oraz kilka cerkwi ozdobionych freskami na zewnętrznych ścianach (Sucevita, Moldovita, Arbore, Radauti). Stanowią one atrakcję architektoniczną na skalę światową i są pozostałościami po klasztorach obronnych wznoszonych tu w XV i XVI wieku. Cerkwie wewnątrz obwarowań były bardzo małe i zewnętrzne malowidła miały umożliwić uczestniczenie w nabożeństwie większej ilości ludzi.

W drodze powrotnej przejeżdżaliśmy przez słynny wąwóz Bicaz o blisko 800 m ścianach i zwiedziliśmy miejscowość o tej samej nazwie — miejsce internowania prezydenta Mościckiego w 1939 roku. Ostatni biwak w Rumunii rozbiliśmy w Cluj — mieście eksponującym swoje tradycje sięgające czasów rzymskich. Stąd, z noclegami w Debreczynie i Dukli, wróciliśmy 18 sierpnia do Łodzi.

Wyprawa spełniła oczekiwania uczestników oraz wypełniła zakładane cele. W pełni potwierdziła się umiejętność rozwiązywania spraw bytowych przez członków Klubu. Ilość bagażu i spo-

sób jego rozmieszczenia w autokarze (4 bagażniki i 7 tylnych miejsc siedzących) nie sprawiała kłopotów, mimo miejscami bardzo złych nawierzchni dróg („drum in lucru”).

Wędrówki w innych warunkach niż te, które są w górach polskich, uzmysłowiły uczestnikom wyprawy konieczność osvajania się z terenem nieoznakowanym i trudnym. Duża różnorodność wrażeń i doświadczeń pozwoliła każdemu spoj-

Wędrówki bułgarskie

W latach 1983 i 84 Klub zorganizował dwie autokarowe wyprawy krajoznawcze do Bułgarii. W jednej i drugiej wyprawie brało udział po 36 osób.

Kierownikiem pierwszej wyprawy był kol. Przemysław Wojciechowski, a jego zastępcą ds. programu górskiego kol. Grzegorz Ulman, natomiast drugą wyprawę poprowadził kol. Ulman, a jego zastępcą był kol. Romuald Zieliński. Zasady organizacyjne obu wypraw były podobne, obie trwały trzy tygodnie, przy czym jeden tydzień przeznaczony był na dojazd do Bułgarii i powrót do kraju, drugi na program górski, a trzeci na program krajoznawczo-wypoczynkowy nad Czarnym Morzem. Dojazd do Bułgarii i powrót do kraju dla obu wypraw był także jednokowy, możliwie najkrótszą drogą, przez Czechosłowację, Węgry i Rumunię, przy czym do Bułgarii wjeżdżaliśmy przez „Żelazne Wrota” na Dunaju i promem do Widinu, a wracaliśmy przez most przyjaźni w Ruse. W Widinie zwiedzaliśmy XIV w. twierdzę turecką Baba Wida zbudowaną na fundamentach znacznie starszej twierdzy z czasów rzymskich. Twierdza ta należy do systemu obronnego Dunaju i jest jednym z cenniejszych zabytków architektury w Bułgarii.

Obie grupy zwiedziły Sofię, Płowdiw, Burgas, Sozopol, Neseber. Nie będę opisywał drogi dojazdowej i powrotnej, ponieważ sprowadza się to do bardzo nużącego pochłaniania kilometrów, przerywanego bądź to awariami autokaru (druga wyprawa miała 19 gum do wymiany), bądź to emocjami na przejściach granicznych. Ciekaw-

rzeć z szerszej perspektywy na swoje górskie i turystyczne doświadczenia, co niewątpliwie zaowocowało w późniejszych wyprawach.

We wspomnieniach, pobudzonych czasem widokiem stojącego gdzieś w domu wazonu z czarnej ceramiki mołdawskiej, sylweta Popa Iwana widzianego z Petrusula jest po 11 latach równie słoneczna jak wtedy.

Adam Chyżewski

wszy znacznie był przebieg wypraw w samej Bułgarii, więc zaczynamy od pierwszej w 1983 roku.

Późną nocą w niedzielę przepływamy promem do Widinu i rozbijamy obozowisko na campingu. W poniedziałek o 6.00 rano pobudka i jeszcze dosypiając pakujemy cały majdan do autokaru. Zwiedzamy opisaną wyżej twierdzę i poprzez bardzo malownicze góry jedziemy do Sofii. Zwiedzamy centrum Sofii, na co mamy całe trzy godziny i dalej w góry Riły. Przez Samokow i Gowedarci dojeżdżamy wysoko do kompleksu turystycznego Maliowica dokąd mieliśmy skierowanie, ale okazało się, że nie ma tu żadnego miejsca do rozbicia namiotów. Wracamy więc do Gowedarci, a ponieważ jest już bardzo późno i bardzo mokro po burzy, wynajmujemy 5 domków kempingowych, czteroosobowych i wszyscy jakoś „ubijamy się”.

Następnego dnia piękna pogoda. Czekamy na pilota bułgarskiego, z którym byliśmy umówieni. Po różnych perypetiach udaje nam się go odszukać i ustalamy, że zamieszkamy na campingu w Borowec. Możemy wreszcie iść w góry. Wycieczka krótka, ale piękna widokowo. Niestety, jedna z koleżanek przechodząc przez strumień upadła niefortunnie, sądziliśmy, że złamała rękę ale na szczęście skończyło się bolesnym potłuczeniem. Wieczorem jedziemy do Borowec i tutaj okazuje się, że camping jest w remoncie do końca sezonu. Szczęśliwie przygarnęli nas polscy robotnicy budowlani i namioty rozstawiliśmy na dziko w pobliżu ich bazy. W środę pierwsza poważna wyprawa górską. Kolejną gondolową wjeżdżamy na szczyt Jastrzębca, skąd ciekawą górską percią, poprzez kilka kolejnych kotłów polodowcowych z malowniczymi jeziorami, osiągamy najwyższy szczyt na Bałkanach, Musalę (2925 m npm). Ze szczytu schodzimy pieszo do samej bazy i zmęczeni ale pełni wrażeń lądujemy na wieczernię nie wiadomo dlaczego nazywaną przez nas „obiadokolacją”. Następnego dnia mieliśmy zamiar udać się na ulgową wycieczkę wzdłuż doliny Maricy zwiedzając po drodze malownicze urwisko Czarnej Skały. Według posiadanych przez nas map do schroniska Marica było 8 km, a więc cała wycieczka miała mieć długość 16—17 km. Tymczasem okazało się, że odległość faktyczna wynosi 14 km, a nie 8 tak więc mimo, że do schroniska nie wszyscy doszli zrobiła się wyrypa na 25—30 km. Stąd wniosek, że wszystkie posiadane informacje są dezinformacjami, co później jeszcze wielokrotnie się potwierdziło.

Kolejna wycieczka należała do najpiękniejszych — od kompleksu turystycznego przez szczyt Maliowicy (2730 m npm), gdzie wspaniałe widoki na całe pasmo Riły i dalej przez Damgę (2670 m npm) skąd bajeczne zejście do doliny Siedmiu Jezior Rilskich (2306 m npm). Tutaj w schronisku spotykamy część naszej grupy, która podchodziła od dołu, od schroniska Vade, ponieważ wyglądało na to, że grań Maliowica—Damga jest bardzo trudna gdy tymczasem okazało się, że podejście od Vady jest znacznie trudniejsze, ale kto o tym wiedział? Schodzimy już razem do schroniska Vada, gdzie czeka na nas autokar.

Następnego dnia zrywamy obóz i jedziemy do Rilskiego Monastyru. Wszyscy jesteśmy urzeczeni pięknem tego najcenniejszego zabytku kultury bizantyjskiej w Bułgarii. Po trzech godzinach wsiadamy do autokaru i przez Bansko wjeżdżamy na karkołomną drogę górską, którą dojeżdżamy na pole namiotowe przy schronisku Banderica (1770 m npm). Przejechanie tej drogi autokarem to naprawdę wyczyn „na medal” naszego kierowcy.

Jesteśmy w sercu Pirinu i jest tak pięknie, że nie przeszkadza nam ani nocna temperatura około 0°C, ani ubikacja w „krzakach”, ani umywalnia w potoku z lodowatą wodą. Kolejną niedzielę uczciliśmy wchodząc na Wichren (2915 m npm), drugi szczyt w Bułgarii, a trzeci na Bałkanach za Olimpem. Wspaniała alpejska droga i wspaniała Jasna Góra, bo Wichren zbudowany jest z marmuru i w słońcu bieli się jakgdyby

pokryty był śniegiem. Wejście na szczyt jest bardzo mozolne, przeszło godzinę trzeba trawersować bardzo strome zbocze szczytowej kopuły. Nasza droga zejściowa jest także dość trudna, bo schodzimy ostrą marmurową granią na przełęcz w stronę Kutieły, a ponieważ pokropił deszcz, marmurowy pył zamienił się w poślizgowe błotko. Od przełęczy droga prowadzi przez piękne skalne cyrki i hale wypasowe. Jest to tak piękny odcinek drogi, że można go porównać tylko z najpiękniejszymi szlakami tatrzańskimi. Następnego dnia wycieczka na Todorin Wierch piękną drogą przez Banderickie Jeziora. Wracamy przez sąsiednią dolinę Rybiego Jeziora. Wszyscy jesteśmy urzeczeni Pirinem. Jest piękny i dziki. Tak musiały wyglądać Tatry w latach dwudziestych, kiedy można było wszędzie chodzić.

Nad morzem zwiedzamy całe wybrzeże na południe od naszego kempingu „Kawaczi” koło Sozopola, a więc Primorsko, Miczurin, Achtopol.

Wracając do kraju zatrzymujemy się jeszcze na jeden dzień w Wielkim Tyrnowie. Jest to jedno z najpiękniejszych miast Bułgarskich, ale trudno powiedzieć, czy piękniejsza jest stara bułgarska architektura czy też wspaniałe krajobrazy otaczające miasto.

Druga wyprawa w 1984 r. miała w zasadzie bardzo podobny program. Po zwiedzeniu Widinu jedziemy do Białogradzika gdzie zwiedzamy turecką twierdzę wkomponowaną w bardzo malowniczą grupę skał o fantastycznych kształtach. Następnego dnia zwiedzamy „z marszu” Sofię i lądujemy w Gowedarci na znajomym kempingu. Wreszcie program górski. Zdobywamy Maliowicę i schodzimy bardzo stromym zboczem do Rilskiego Monastyru. To zejście wszyscy będziemy pamiętali do końca życia. Kompletnie wypruści, na ostatnich nogach, ale szczęśliwie bez wypadku wszyscy znaleźliśmy się na kempingu, gdzie dojechał już nasz autokar z bagażami. Była to jedna z najtrudniejszych wycieczek. Rano zwiedzamy Rilski Monastyr i jedziemy do Melnika. Przepiękne stare miasto-zabytek zlokalizowane wśród bajecznie ukształtowanych piaskowych skał. Zwiedzamy także położony za Melnikiem Rożeński Monastyr o bardzo ciekawej drewnianej architekturze i wracamy do gór. Nocujemy na dziko nad rzeką w okolicy Simitli. Był to jeden z najbardziej udanych noclegów. Rano pakujemy się i przejazd do Bańska (takie bułgarskie Zakopane), które zwiedzamy dokładnie,

robimy zakupy i jedziemy na znane nam pole biwakowe przy schronisku Banderica. Droga chyba jeszcze gorsza niż w zeszłym roku, ale dojeżdżamy szczęśliwie, niestety leje deszcz. Drugi dzień w Pirinie kompletnie pochmurny, ale postanowiliśmy iść na Wichren. W drodze łapie nas deszcz, kilka osób wycofało się, ale większość idzie dalej. Pod szczytem w skałkach (bo wchodzimy odwrotnie niż rok temu) zaczyna lać na dobre. Część osób nie przywykła do takiej drogi i przy takiej pogodzie ma złe samopoczucie. Na wysokości zadania stają koledzy przodownicy, którzy gromadzą wokół siebie po kilka mniej doświadczonych koleżanek i kolegów, wprowadzając szczęśliwie wszystkich na szczyt w strugach deszczu i sprowadzając wszystkich w dobrej formie, niestety tylko psychicznej, do schroniska pod Wichrenem. Stąd już bez trudności wracamy do bazy, ale jesteśmy kompletnie przemoczeni. Wycieczka bardzo trudna, typowo sportowa, bez satysfakcji widokowych. Kolejny dzień także deszczowy. Robimy krótką wycieczkę do wodospadu Banderica i czekamy na lepszą pogodę. W nocy kilka naszych namiotów zalanych. Rano bez żadnych widoków na poprawę aury. Zimno. Zwijamy więc to nasze obozowisko (nie-

Nepal 1989

Klub Kosówka w okresie od 12 marca do 25 kwietnia 1986 r. zorganizował pierwszą w historii Oddziału Łódzkiego PTTK wyprawę w Himalaje. W wyprawie wzięło udział 24 członków Klubu pod kierownictwem kol. Zbigniewa Ściborka. Nad zdrowiem uczestników czuwał trzyosobowy zespół lekarzy, któremu przewodniczył kol. Marek Pawlak. Celem wyprawy było przejście w dwóch grupach tras trekkingowych w rejonie Annapurny. Obie grupy miały wyruszyć z Pokhary. Trasa grupy I miała przebiegać następująco: Pokhara — Jomoson — Muktinath — przełęcz Thorung La — Manang — Tilicho Tal — Tilicho La — Marpha — Tukche — Birethanti — Sanktuarium Annapurny — Pokhara. Trasa grupy II to: Pokhara — Jomoson — Muktinath — Jomoson — Birethanti — Sanktuarium Annapurny — Pokhara.

którzy mówili trafnie gnojowisko) i uciekamy z Pirinu nad morze, zwiedzając po drodze Płowdów. Dopiero tutaj łapiemy pierwsze promienie słońca, ale prognoza pogody w radio jeszcze przez 5 dni mówiła o ciągłych deszczach w rejonie Pirinu. Tak więc decyzja wcześniejszej ucieczki z gór okazała się słuszną. Za to nad morzem pogoda odpłaciła nam z nawiązką, już na trzeci dzień wszyscy byli poparzeni promieniami słonecznymi, a co odważniejsi również w takich miejscach, gdzie słońce dochodzi wyjątkowo rzadko.

W czasie pobytu nad morzem zwiedzano Neseber (wodolotem) i Jasną Polanę gdzie zorganizowano nam „przyjtko” alkoholowo-owocowe urozmaicone występami grupy folklorystycznej. Wracając do kraju zwiedziliśmy po drodze jeszcze Warnę i tzw. „kamienny las” niedaleko Warny, tj. bardzo ciekawy zespół kamiennych utworów przypominających pnie drzew.

Droga powrotna przez Russe bardzo długa i bardzo męcząca.

Grzegorz Ulman

W Pokharze po uzyskaniu w miejscowych agencjach turystycznych informacji dotyczących planowanych tras oraz uwzględniając:

- aktualne możliwości kondycyjne uczestników,
- zapewnienie odpowiedniej aklimatyzacji,
- trudności komunikacyjne i noclegowe

dokonano niewielkiej modyfikacji planowanych tras oraz podziału na grupy. Zamiast dwóch utworzono trzy grupy. Dzięki dobrym warunkom atmosferycznym, sprawnej organizacji wyprawy i dobremu klimatowi wewnątrz grup, udało się w stu procentach zrealizować zamiary. Ostatecznie grupa I licząca 9 osób przeszła trasę: Pokhara (815 m npm) — Dumre (360 m npm) — Palesang (3170 m npm) — Manang (3600 m npm) — Thorung Beni (Base Camp 4400 m npm) — przełęcz Thorung La (5416 m npm) — Muktinath

(3800 m npm) — Jomoson (2240 m npm) — Tatopani (1200 m npm) — przełęcz Karkineta (1600 m npm) — wieś Naudanda — Pokhara.

Trasę tą pokonano w ciągu 15 dni. Całkowita jej długość wynosiła blisko 300 km, z czego 32 km przejechano samochodem ciężarowym. Różnica wzniesień pomiędzy Dumre i Thorung La wynosi 4959 m. Grupa korzystała z usług 4 kulisów. Odcinki Pokhara — Dumre i Naudanda — Pokhara przebyto autobusami kursowymi.

Grupa II licząca 11 osób przeszła trasę: Pokhara — Annapurna Base Camp (4150 m npm) Tatopani i dalej jak grupa I. Czas przejścia wyniósł 14 dni. Długość trasy od Pokhary do Naudandy wynosiła 212 km z czego 12 km przejechano wynajętym autobusem. Różnica wzniesień pomiędzy Pokharą a Annapurna Base Camp wynosi 3235 m npm. Grupa korzystała z usług 3 kulisów.

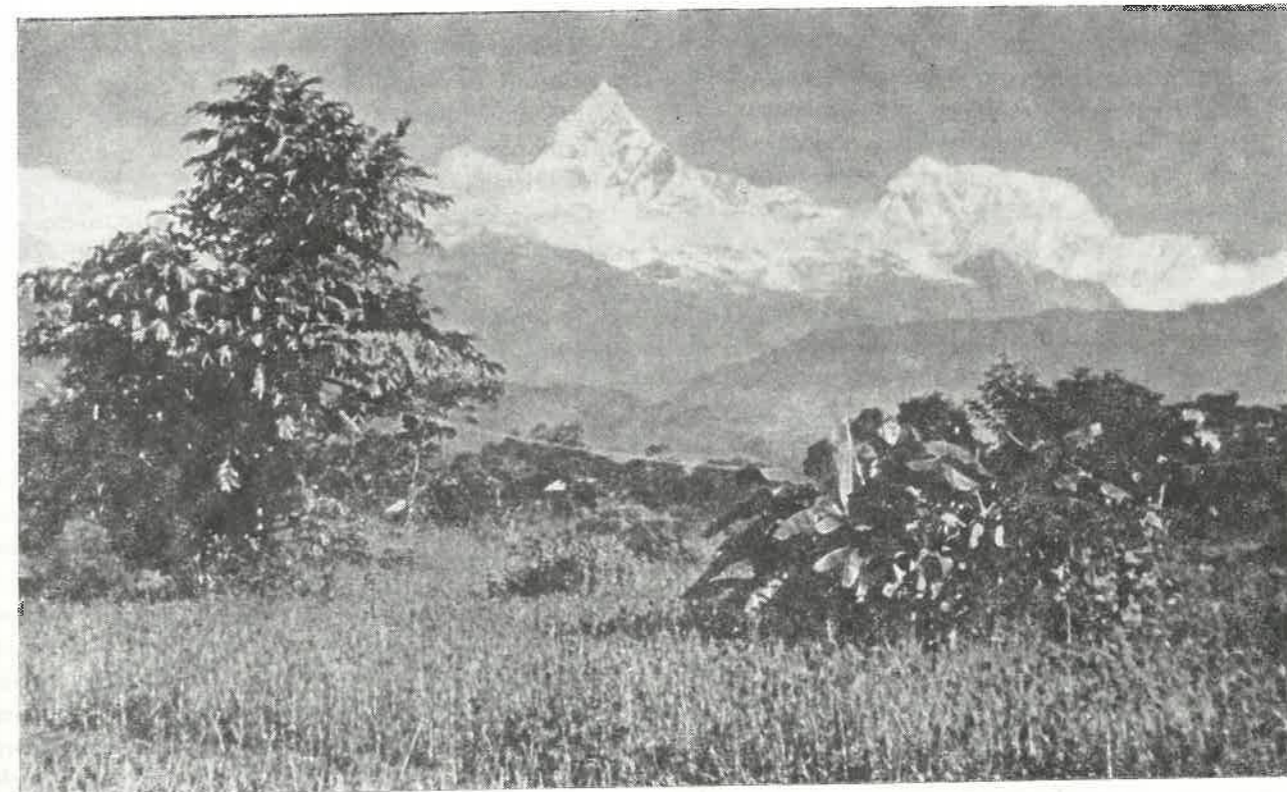
Grupa III licząca 4 osoby przeszła trasę: Pokhara — Ghorapani (2830 m npm) — Tatopani — Jomoson — Muktinath — Tatopani i dalej

jak grupa I. Czas przejścia wyniósł 14 dni. Długość trasy od Pokhary do Naudandy przez Mukchano wynajętym autobusem. Różnica wysokości pomiędzy Pokharą a Muktinath wynosiła 2885 m. Grupa szła z pełnym obciążeniem, bez kulisów.

Na wszystkich trasach nocowano w hotelach, których stan sanitarny i stopień komfortu był bardzo zróżnicowany — od nadzwyczaj prymitywnego do dobrego w zależności od położenia i wysokości. Na całej trasie w górach spotykaliśmy się z życzliwością tubylców.

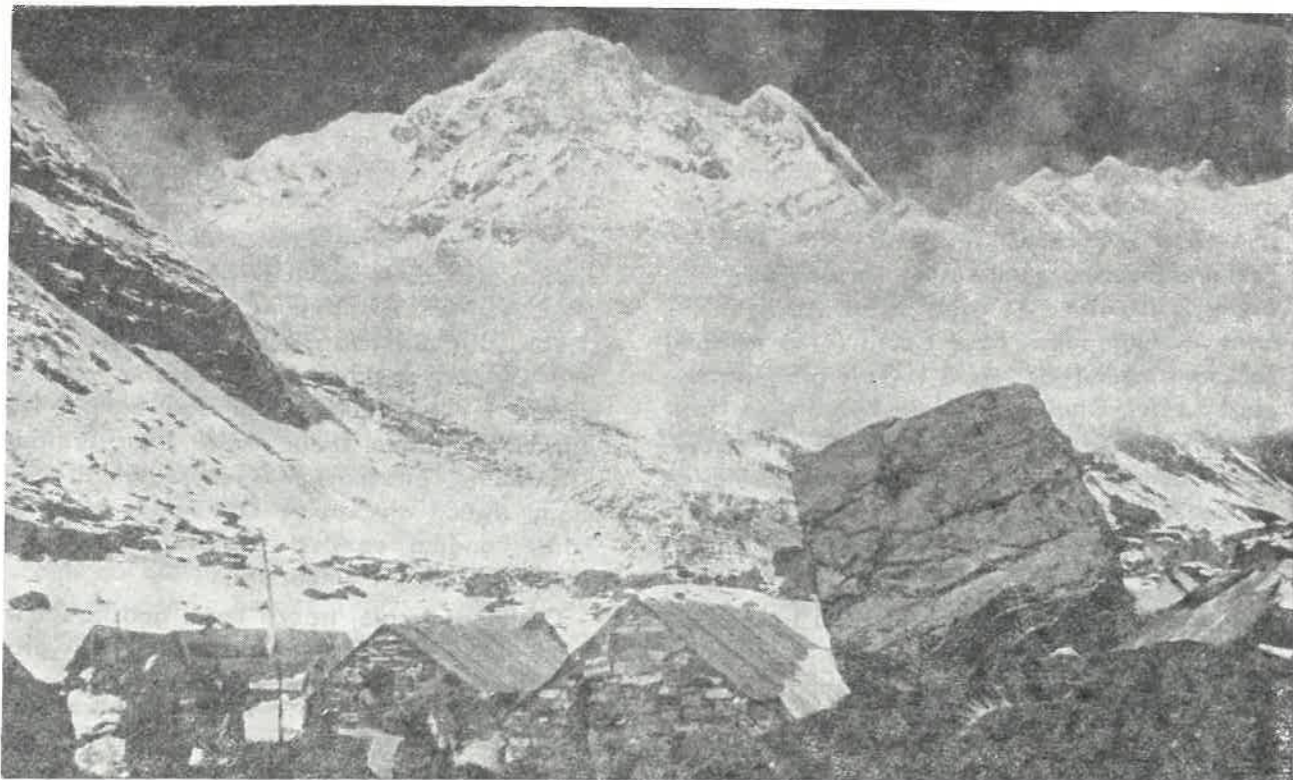
Poza działalnością górską w bogatym programie wyprawy znalazło się zwiedzanie wielu zabytków i miejsc kultu religijnego Indii. Między innymi zwiedzano Delhi, Agrę, Jajur, Varanasi i Sarnath. Natomiast w Nepalu zwiedzano w ciągu dwóch dni stolicę Kathmandu oraz Pokharę. Ponadto egzotyki wyprawie dodał krótki skok do Malezji i Singapuru.

O długości całej trasy i ilości godzin spędzonych w podróży przez uczestników wyprawy świadczy poniższe zestawienie:



Nepal 1986 — widoki z Pokhary

fot. archiwum



Nepal 1986 — Widok na Annapurne

fol. archiwum

Rodzaj środka lokocji	Liczba kilometrów	Godziny podróży
samolot	21400	26
pociąg	2100	39
autobusy	1450	43

Podany czas nie obejmuje oczywiście oczekiwania na dworcach jak i dojeżdżania. W zestawieniu danych dotyczących podróży autobusem nie uwzględniono przejazdów autobusami miejskimi.

Cele górskie jak i krajoznawcze osiągnięto w pełni, do czego w dużej mierze przyczyniła się doskonała koleżeńska atmosfera i duże zdyscyplinowanie uczestników wyprawy.

Zbigniew Ściborek

W sieci pająka (Złot w Rzekach—czerwiec 1957)

Odkąd zacząłem chodzić po górach i jeździć na nartach Gorce stały mi się bardzo bliskie. Ten dziki, zalesiony maszw stwarzał możliwości ciekawych, emocjonalnych przeżyć. Można tu było zagubić się w głuchej puszczy i nie spotkać

przez dłuższy czas żywej duszy. Układ grzbietów Gorców przyrównuje się nieraz do wielkiego pająka, którego odwłok i głowę stanowi obszar zawarty między wierzchołkami Turbacza i Kiczory z jednej strony, a Przełęczą Borek i Czołem Tur-

bacza z drugiej. Z tego potężnego tułowia wyrasta osiem grani. Biegną one ku Bukowinie Waksmundzkiej i do Nowego Targu; przez Bukowinę do Klikuszowej; w stronę Obidowca, Starych Wierchów i Rabki; od czoła Turbacza na Turbaczyk; z Przełęczy Borek na Kudłoń i do Lubomierza; z wierzchołka Kiczory przez Gorce do Rzek; wreszcie najdłuższe odnóże — od Kiczory przez Przełęcz Knurowską, Runek na Lubań i dalej do Krościenka. W gmatwaninie dolin kilkadziesiątu potoków objętych ramionami gigantycznego pająka i stanowiących jakby jego sieć łowną można łatwo zgubić drogę i pobłądzić, gdyż doliny i ich boczne odnogi wielokrotnie zmieniają kierunki i wzajemne położenie. Na szczęście dla ofiar losu Gorce nie są rozległe ani wysokie, nie posiadają skalistych zboczy, toteż zbłąkanym nie grozi poważne niebezpieczeństwo. Kierując się w dół zawsze natrafi się na potok, który wyprowadzi na drogę podążającą do osiedli ludzkich.

Mniemałem, że Gorce znam dobrze. Jeszcze przed wojną hasałem tu na nartach. Parokrotnie zaglądałem do ich wnętrza po wojnie, ostatnio w latach 1954 i 1955. W roku 1957 zapragnąłem uczestniczyć w zlocie turystów górskich, który organizowała Komisja Turystyki Górskiej Łódzkiego Oddziału PTTK. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, to za inicjatorów zlotu w Rzekach trzeba uznać Tadeusza Kielbasińskiego, Henryka Klimkiewicza i Przemysława Wojciechowskiego, stojących na czele Komisji. Kierownikiem imprezy był Henryk Klimkiewicz.

Do udziału zgłosiło się wielu chętnych, którzy różnymi drogami zdążyli na miejsce obozowiska dźwigając na plecach namioty, ekwipunek, odzież, śpiwory i prowiant. Mój tatrzański towarzysz nie mógł się ze mną wybrać, toteż nie miałem partnera do spania, a gorzej — bo i do dźwigania namiotu. Wypożyczony spory namiot ważył 12 kg. Co najmniej drugie tyle biwakowe wyposażenie, żywność i sprzęt fotograficzny. Ten garb tkwiący mi na ramionach zamierzałem donieść do Rzek drogą poprzez Turbacz, Zakopiański pociąg z Łodzi, jak zwykle zatłoczony, spóźnił się też jak zwykle. Wylądowałem w Chabówce około 7 rano. Z pociągu wysypała się spora grupka uczestników zlotu. W Rabce dołączyli inni, którzy przybyli odmiennymi środkami lokocji. Wszyscy zdążają na Turbacz przez Maciejową, Stare Wierchy i Obidowiec czerw-

nym szlakiem. W schronisku zamierzamy coś zjeść i odpocząć. Dalej układałem sobie zejście na Przełęcz Borek i skrótami do leśnych dróg wiodących wzdłuż potoku Kamienica w stronę Rzek. Droga wydawała mi się prosta, znana.

Na Turbaczu towarzystwo dzieli się na mniejsze grupki, które wyruszają w dalszą drogę około godziny 14, wybierając różne możliwości dotarcia do celu. Jedni kierują się żółtym szlakiem na Kudłoń i stąd zamierzają zejść do miejsca biwakowego. Drugi zespół chce iść na Kiczorę, z niej opuścić się na Przełęcz Borek i stąd leśną drogą trafić do Rzek. Nie potrafię sobie przypomnieć, kto wpadł na szatański pomysł zejścia w dół wzdłuż potoku Kamienica. Niby jest to droga najkrótsza (na mapie!), wiodąca w górnych partiach malowniczym, wiekowym lasem bukowym, przewijająca się po usypiskach kamiennych źródlowisk potoku, a w dole biegnąca bezdrożami Kanionu wyżłobionego przez Kamienicę. Na zejście tą drogą decyduje się poza mną grupa członków Koła Zakładowego nr 27 z Przędzalnii Czesankowej im. Gwardii Ludowej, w składzie: Zdzisław Hibszer, Leszek Sobolewski, Antoni Wyczawski i Henryk Łomżyński. Nieświadomi swego kroku ruszyli za mną ufając, że ja — przodownik, doświadczony turysta, taternik itd., itp. — doprowadzę ich, mniej po górach oblatanych, bez trudności, wprost do celu. Nie wszyscy przedtem znaliśmy się, więc od razu rozpoczęły się zapoznawcze rozmowy, naturalnie o górach, wycieczkach, rajdach, przygodach. Gadu, gadu, czas ucieka, a my szybko schodzimy w dół.

Za zgodą autora pozwolę sobie zacytować fragment notatki sporządzonej (w kronice wspomnianego Koła) przez Zdzisława Hibszerę:

„Wybierając drogę według kompasu ruszamy lasem w dół (...) natrafiamy na ślady jakiegoś strumyka i pewni, że jesteśmy nad Kamienicą przyspieszamy kroku (...) Po pewnym okresie czasu (...) ukazuje się ścieżka, która biegnie w dół. Wydostawszy się na lepszą drogę przyspieszamy tempo marszu i wkrótce zbliżamy się do jakiegoś osiedla”.

Skracając sobie czas rozmowami grzaliśmy ciągnięci siłą grawitacji. Nieroztropnie poddawszy się jej działaniu nie uświadomiliśmy sobie, że staczymy się po niewłaściwym azymucie. Moi mili towarzysze, mniej ode mnie zżyci z górami, bezkrytycznie podążali moim śladem. I tak więc gadu, gadu i w dół, byle niżej. Pojawiające się

domostwa zreflektowały mnie, że nie jesteśmy na właściwym tropie. Cytuję dalej kronikę: „W pewnym momencie (...) wylania się niewieścia postać i Leszek zapytuje się, czy daleko jeszcze do Rzek (...) — jakieś Rzeki są, ale nie w tej stronie, a gdzieś za tą górą — przy czym wskazała na ciągnące się z prawej strony pasmo — jeszcze kawałek panowie pójdziecie i będziecie w Łopusznej”.

Nękać nas od pewnego czasu wątpliwości zostały brutalnie potwierdzone.. Rozkładamy mapę i orientujemy się w terenie. W pierwszym odruchu chcemy wracać, ale perspektywa nocnej wędrówki z Turbacza doliną Kamienicy nie przypada nam wszystkim do gustu. A więc co dalej? Czwórka „Gwardzistów” wybiera drogę szosą przez Nowy Targ, Chabówkę, Mszanę Dolną, Lubomierz do Rzek. Dotrą oni tam na śniadanie pokonując trasę pieszo i częściowo autobusem. Mnie nie pociągała nocna szosowa eskapada. Wsiadłem więc w Łopusznej do autobusu i z przesiadką w Nowym Targu trafiłem do Krościenka. Zamierzałem nazajutrz przejść przez Lubania i Gorc do Rzek. A tymczasem w prywatnym domu gościnnie przyjęty wyciągnąłem się na ławie, zawinięty w śpiwór. Po chwili zbudziła mnie jakaś krzątająca i ku swojemu zdumieniu ujrzałem wchodzące z plecakami moje dwie kuzynki. Nie widzieliśmy się parę lat, trzeba więc było porozmawiać i poruszyć rozliczne plotki rodzinne, jak tam rodzice, ciotki i wujkowie, kto z kim i kiedy? Kuzynki zamierzały przejść pieszo z Krościenka do Zakopanego i stamtąd w ciągu dwóch tygodni robić wypady w Tatry. A mnie pozostało tylko parę godzin snu, gdyż już o piątej wyruszyłem w swoją drogę. Przedtem jednak zjadłem obfite śniadanie, gdyż od obiadu na Turbaczu nie miałem nic w ustach.

Z Krościenka czerwonym szlakiem przekroczyłem potok Krośnicę i podchodziłem w miarę szybko na Marszałka. Prawie trzydziestokilogramowy plecak (z namiotem wystającym na boki) dawał mi się bardzo we znaki. Skwar słoneczny, potem gwałtowna burza ze sprawiającym ulgę, chłodzącym deszczem. Mijam modrzewiowy las, osiągam szczyt Marszałka, bardziej połączoną ścieżką kieruję się grzbietem pod kopułę Lubania, gdzie znów stromizna. Po burzy powietrze zrobiło się rześkie i przejrzyste. Z wierzchołka roztoczył się urzekający widok na ośnieżone Tatry. Niestety, śpieszno mi iść dalej. Teraz ostro w

dół do Ochotnicy, skąd nudną drogą pod Piornowiec. Tu rozciągają się widokowe polany aż po szczyt Gorca. Znów się chmurzy. Trzeba przyspieszyć kroku, aby zdążyć przed deszczem rozbić namiot w Rzekach. Dochodzę na miejsce, setnie zmachany, około godziny 10.30. W obozowisku witają mnie nieliczni uczestnicy Złotu z panią doktor Anną Grajewską na czele (sanitariat stale czynny!). Reszta rozeszła się po górach.

Rozstawiam namiot, przyrządzam sobie posiłek i mnóstwo herbaty. Siadam nad Kamienicą i obserwuję wędkarza łowiącego po drugiej stronie potoku. Budzi mnie jego głos z drugiego brzegu: „chce pan pstrąga?” I już w powietrze leci spora ryba. Złapałem ją — obiad był smaczkowity. Wędkarz nadal cierpliwie moczył wędkę, uczestnicy wracali z wycieczek. Niektórzy grali w siatkówkę, inni w brydża, gotowali, jedli, opowiadali.

Było śmiechu co niemiara z mego przodowniczego pobłądzenia w pajęczej sieci Turbacza. Ano, człowiek błądzi całe życie, a jednak czasem wychodzi na prostą drogę. Tym razem pajak nie przyniósł mi nieszczęścia ani pecha. W dwa miesiące później przeszedłem z Henrykiem Nadziakiewiczem bardzo piękną, trudną i efektowną nową drogę na wschodniej ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu Wielkiego. Nie pobłądziliśmy!

Udany zlot w Rzekach przyniósł też i szersze efekty. Środowisko łódzkich górali zdecydowało stworzyć swój klub. Klub, który później przyjmie nazwę „KOSÓWKA”.

Władysław Manduk

Garść wspomnień o „Kosówkowej rodzinie”

Każda okrągła rocznica skłania do refleksji i wspomnień. Również 30 rocznica powstania Klubu Turystów Górskich wywołuje u mnie wspomnienia dotyczące organizowanych imprez, życia klubowego, ale przede wszystkim ludzi. Wspólne przeżywanie trudów i przyjemności, a czasem wręcz szczęśliwych chwil, łączą ludzi najbardziej, zwłaszcza ludzi o jednorodnych zainteresowaniach. W ciągu minionych 30 lat wiele osób przewinęło się przez Klub, jedni odchodzili, inni przychodzili, a są i tacy, którzy od początku, bądź prawie od początku, są mu wierni ... do dnia dzisiejszego.

Najsilniej jednak wspomnienia biegną do ludzi, którzy mocno zaznaczyli swoją obecność w Klubie — osobowością, umiłowanie gór i turystyki, pracą na rzecz Klubu — byli bardzo z nim związani i odeszli od nas nie z własnej woli. każdego z nich żegnaliśmy na cmentarzach i w miarę możliwości staraliśmy się o nich pamiętać.

Istnieje w Klubie niepisany zwyczaj, że z okazji odbywających się jubileuszy, większych uroczystości, bądź w czasie Święta Zmarłych, wspólnie odwiedzamy groby naszych najbliższych „klubowiczów”, często przywoząc im nielegalnie z gór — gałązkę kosówki.

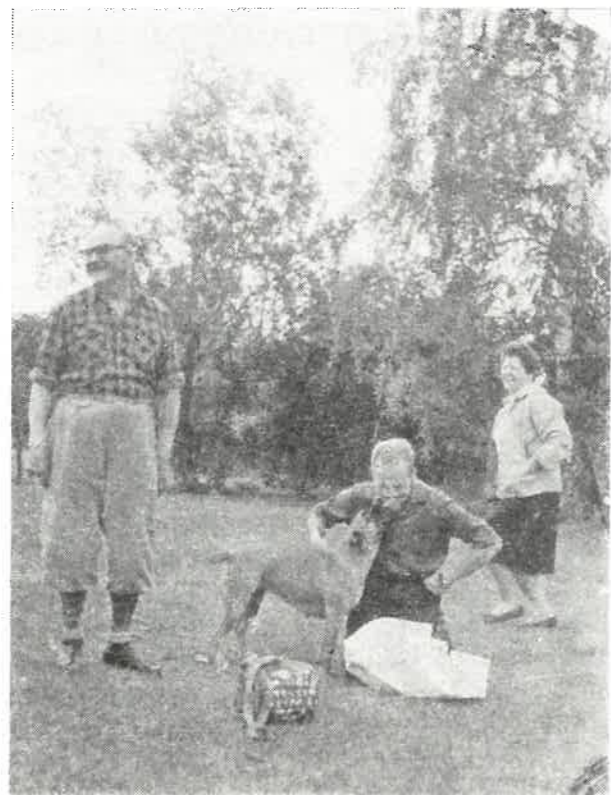
Byli to przede wszystkim: „Wujcio” — Aleksander Siemiradzki — założyciel i pierwszy prezes Klubu oraz pozostająca w Jego cieniu, ale jakże pełna dobroci i uroku „Ciocia” — Alojza Siemiradzka, „Profesor” — Mieczysław Gajewicz, Stasio Wierzbowski, Hania Król i Zbyszek Marszałek. Była też długie lata z nami — jedynie sympatyczka Klubu, ale jakże umilająca nam życie ogromnym poczuciem humoru i tryskająca radością — Luba Pawłowicz. Ostatnio odszedł od nas (w czerwcu 1987 r.) Leon Wojciechowski, który zginął tragicznie w ukochanych Tatrach na Kościelcu. Mimo wieku odznaczał się do samego końca bardzo dobrą kondycją fizyczną, psychiczną i radością życia. Nieszczęśliwy przypadek spowodował jego odejście.

Aleksander Siemiradzki — „Wujcio” — był założycielem Klubu i jego pierwszym prezesem. Był już wtedy mężczyzną w sile wieku, średniego wzrostu, o niebieskich oczach i krótko przyciętym siwym wąsiku. Cechował go niebывały wręcz zapał do pracy w Klubie i wspólnego uprawia-

W Bieszczadach — sierpień 1964 — od lewej: Stasio Wierzbowski, Jola Godzisz, Małgosia Grońska i Fredek Godzisz
fot. archiwum



W Bieszczadach — sierpień 1964 — od lewej: Stasio Wierzbowski, Jola Godzisz, Małgosia Grońska i Fredek Godzisz
fot. archiwum



Ciocia i Wujek Siemiradzcy oraz Bogumił Mianowski z Hecą w Kasinie Wielkiej — czerwiec 1963 fot. archiwum

nia czynnej turystyki. Urodzony na Ziemi Sądeckiej w Stróżach i wychowany na niej, walczący w lasach sądeckich z hitlerowskim okupantem w zgrupowaniu Tatara, odczuwał ogromne przywiązanie do tej ziemi. Podczas wędrówek w okolicach Makowicy i Hali Pisanej pokazywał nam swoją siedzibę z czasów partyzanckich i snuł opowieści o tragicznych dniach walki z okupantem. W czasie pobytu w Suchoj Dolinie gościliśmy przy ognisku byłego dowódcę oddziału Tatara, w którym walczył Wujcio.

Nie tylko jednak Sądeczczyzna zajęła miejsce w jego sercu. Również Tatry były górami, które przyciągały go jak magnes. Wejście na szczyt Wysokiej, czy Gerlacha była zawsze dla niego nowym przeżyciem i ogromną radością. Lubił chodzić w góry w towarzystwie, a my chodziliśmy z nim chętnie, bo znał je znakomicie, miał duże doświadczenie, a swoją radość, optymizm i umiłowanie gór potrafił przekazać wszystkim współwędrownikom.

Różnorodne imprezy organizowane przez, bądź przy współudziale Wujcia, kojarzą mi się z szukaniem kwiatu paproci w Noc Świętojańską, po-

witaniem Nowego Roku przy ognisku z pochodniami na szczycie zamkowej góry w Rytrze w rozśnieżoną noc sylwestrową, wspaniałymi wycieczkami, rozśpiewanymi wieczorami przy ognisku oraz ze znakomitymi pstrągami, które Wujcio łowił dla nas w bieszczadzkiem potoku.

W organizowanych imprezach Wujcio był zawsze ich duszą. Bez względu czy była to wycieczka górską, na której nie odczuwał chłodu, upału ani zmęczenia, czy wieczorne ognisko, czy też spotkanie towarzyskie — był pierwszym wędrowcem, pierwszym śpiewakiem, pierwszym tancerzem i organizatorem wszystkich zabaw. W atmosferę życia turystycznego wciągnął również swoją rodzinę. Dzięki osobistemu urokowi Cioci i jej życzliwości dla nas dom Siemiradzkich był swego rodzaju przystanią dla klubowiczów, którzy znajdowali tam zawsze przyjazną atmosferę i wpadali doń często.

Na pierwszych zebraniach Klubu uwagę naszą zwrócił pewien starszy już pan o siwych włosach i brodzie przyciętej w szpic. Niewielkiego wzrostu, raczej szczupłej budowy, trzymający się niezmiernie prosto, z nieodłączną laseczką, o



50-lecie uprawiania turystyki przez prof. Mieczysława Gajewicza (V 1971) od prawej: M. Gajewicz, Tatiana Pawłowicz, Aleksander Siemiradzki „Wujek” fot. archiwum

przenikliwym spojrzeniu szarych oczu. To Profesor — Mieczysław Gajewicz, geolog, nauczyciel, były członek Towarzystwa Tatrzańskiego, kochający góry, spartańską turystykę oraz ... kobiety.

Już na pierwszym rajdzie zorganizowanym wiosną 1955 r. w Górach Świętokrzyskich poznaliśmy go bliżej. Ładował wybrane kamienie do (już dość ciężkich) plecaków zdrowo wyglądających kolegów i opowiadał, opowiadał ... opowiadał. O dawnej turystyce, o kamieniach, o geomorfologii terenu. Często w trakcie opowiadań tracił poczucie czasu. Na kolejnych imprezach zatrudniał klubowe koleżanki cerowaniem skarpet, przygotowywaniem posiłków, opatrywaniem zadrapań, a także jako słuchaczy — nie mógł się obejść bez słuchaczy. Poza koleżankami upodobał sobie Freda Godziszę i pamiętam, jak bardzo miał za złe Joli (którą Fred wybrał sobie z klubowych koleżanek na żonę) że ... zabrała mu Freda. Profesor, mimo pewnych cech zaborczości, odznaczał się ogromną wiedzą, umiłowaniem przyrody i gór. Kochał góry tak bardzo, że w ostatnich latach życia, kiedy nie wolno mu było — ze względu na stan zdrowia — jeździć w góry, wynajmował sobie pokoik pod regłami z widokiem na Giewont i spędzał tam kilka tygodni „by chociaż popatrzeć”, jak nam mówił. Jego dewizą było chodzić po górach bez ułatwień — nie znosił kolejki na Kasprowy (stąd antypatia do min. Bobkowskiego), lubił wstawać o świcie, nocować w kolebach, chodzić dzikimi ścieżkami i robić to, czego nam już ani w początkowych latach istnienia Klubu, ani tym bardziej dziś, robić nie wolno. Jego młodość przypadała na czasy bardziej romantyczne. Mieszkał też kilkanaście lat pod Tatrami, a także w Alpach.

W ostatnich latach swego życia (do momentu kiedy mógł chodzić), a miał już 80 i kilka lat przychodził do Klubu na zebrania. Kiedyś ostrożnie wziął mnie za rękę i zapytał, czy wiem po co przychodzi na zebrania, kiedy popatrzyłam pytająco na niego, odpowiedział: „żeby was jeszcze raz zobaczyć”.

Hania Król, szczupła niewysoka dziewczyna o piwnych oczach, nieco nieśmiała, o miłym uśmiechu. Z wykształcenia farmaceutka zawsze zapatrywała swoje koleżanki i kolegów w niezbędne leki. Zamiłowana turystka i narciarka kochała wszystkie góry, a szczególnie Tatry, ale kochała także lasy w okolicach Łodzi. Niezmiernie odda-

na innym ludziom od swojej rodziny (rodziców, braci, siostry) poczuwszy do wszystkich przyjaciół, którzy czegośkolwiek potrzebowali. Nie potrzebowała tylko nigdy niczego dla siebie.

Brała czynny udział w wielu naszych imprezach. Razem przemierzaliśmy bieszczadzkie wczesne potoki, gęstwinę lasów na Chyrlatej, czy też pełne wiosennych kwiatów łąki świętokrzyskie. Zawsze obcowanie z przyrodą sprawiało jej romantycznej duszy ogromną radość i chyba dawało jej szczęście. W czasie ciężkiej, nieuleczalnej choroby pojechała pożegnać się z Tatrami. Spoczywa natomiast przy ścianie brzoźowego lasu w Łagiewnikach (takie było jej życzenie).

Stasio Wierzbowski, kiedy przyszedł do Klubu był już starszym panem. Z zawodu główny księgowy został również w turystyce wciągnięty do prowadzenia finansów. W Klubie sprawował kilkanaście lat funkcję skarbnika. Niezmiernie pracowity i odpowiedzialny. Nie lubił współpracowników do pracy, najlepiej robił wszystko sam.

Blondyn (a może siwy), średniego wzrostu, uparty, zahartowany, lubiący przemierzać przestrzenie niemal nieustannie. Jego pasją od lat były codzienne wielokilometrowe wycieczki, co pozwoliło mu utrzymać dobrą kondycję do późnych lat życia.

Stasia pamiętać będziemy zawsze z najcięższym plecakiem, w którym było absolutnie wszystko co może się przydać na szlaku od gwoździ do ... bańki bardzo dobrego smalcu, który sam przyrządzał przed każdą wycieczką. Pamiętam również jego bardzo wczesne wstawanie, kiedy na wspólnym noclegu już o świcie budził nas przepakowując swoje skarby w plecaki. Nie pomogły żadne prośby, żeby jeszcze trochę pospał i nam też dał spać. Pamiętam wycieczkę w Bieszczady sprzed wielu lat. Doświadczeni turyści, jakimi byli wówczas (mimo młodego wieku) Marek i Adam, powiedzieli Stasiowi, że w zasadzie trzeba tam być samowystarczalnym i mieć w plecaku wszystko, co potrzeba. Stasio to potraktował dosłownie, a efekt był taki, że w dwie z Jolą nie mogłyśmy podnieść jego plecaka z ziemi, kiedy trzeba było go przewieźć autobusem. Ale smakolików było tam co niemiara dla wszystkich.

Był niestrudzony w organizowaniu imprez zarówno na miejscu jak i turystycznych, wszystkie rajdy, zloty, dłuższe wyprawy na szlaku, nawet organizacja wczasów w Bukowinie nie mogły się



Hania Król na zlocie klubowym w Kasinie Wielkiej — czerwiec 1962 fot. archiwum

obejść bez Stasia. Nikt tak jak on nie potrafił załatwić sprawy z chłopami czy góralami. Zнали go mieszkańcy wsi świętokrzyskich i Bukowiny, i cenili równie wysoko jak my — koleżanki i kole-dzy z Kosówki.

Przyszedł do Klubu w roku 1959, pamiętam go już z pierwszego jesiennego rajdu w Górach Świętokrzyskich.

Zbyszek Marszałek — urodzony w Chełmie Lubelskim, od końca wojny zamieszkały w Łodzi, z wykształcenia inżynier mechanik.

Pamiętam go jako człowieka średniego wzrostu, dobrej postury, w okularach, z nieodłączną fajką, powolnego, dokładnego, często upartego, o kontrowersyjnych poglądach. Miał swój świat, do którego jako samotnik uciekał i nie dopuszczał tam nikogo. Często jednak potrzebował przyjaciół i odwzajemniał się również przyjaźnią, bezinteresowną pomocą, życzliwością.

Był nadzwyczaj skrupulatny i przez to powolny. Pamiętam jak na zlocie w Bieszczadach staraliśmy się wcześniej wychodzić na wycieczki, gdy grupa była już gotowa i wychodziła z plecakami, Zbyszek ... szedł się golić i ... już koło 10—11 był gotów do drogi. Marszrutę w górach trzeba było zaplanować na dłuższy czas, gdy w grupie był Zbyszek, nie sposób było go zmusić do pośpiechu, szybszego marszu, czy wczesnego wyjścia.

Chodził z nami po Górach Świętokrzyskich, Sudetach, Tatrach, Bieszczadach, a ostatnio upodobał sobie Roztocze i ziemię zamojską, gdzie organizował coroczne rajdy. Lubiał przebywać z ludźmi młodymi, organizował imprezy dla początkujących turystów w różnych regionach górskich i wprowadzał ich w świat turystyki. Z każdym się zgadzał, o ile nie wchodziło się w jego wewnętrzny świat. Jeżeli zaplanował sobie sposób postępowania — nikt nie był w stanie tego zmienić żadnymi perswazjami. W Klubie ostatnio pełnił niezwykle skrupulatnie funkcję skarbnika.

Eleonora Nowicka

Niech nam żyje pan Kierowca!

On nas wiezie do Leskowca

Nie pamiętam dalszych rymów piosenki, z którą jechaliśmy na Klubowy obóz narciarski. A szkoda, bo w nich było to i owo o czołowych członkach naszego Klubu (przez duże K oczywiście).

Ileż to radości w oczekiwaniu na nową górską przygodę, gdy do autokaru schodzą się nasi obcuzeni plecakami przeróżnej maści, dziwacznymi torbami i worami, nartami, w strojach surowych, niektórzy na rzemieniach chlebaków z kolekcją odznak i znaczków. Słowem — groźne zbroje, twarde woje!

Na Leskowcu zima wita nas w całej krasie szronów górskich, jakże innych od naszych nizinnych. Tam są grube, pokryte lodem, tworzą nie raz prawdziwy pancierz na drzewach. Więc raj dla fotografów. Rano, przed świtaniem wyruszamy ze schroniska z Zygmuntem Stachowiczem fotografować w kolorze śnieżne chochoły i wciąż zmieniające się efekty podczas wschodu słońca.



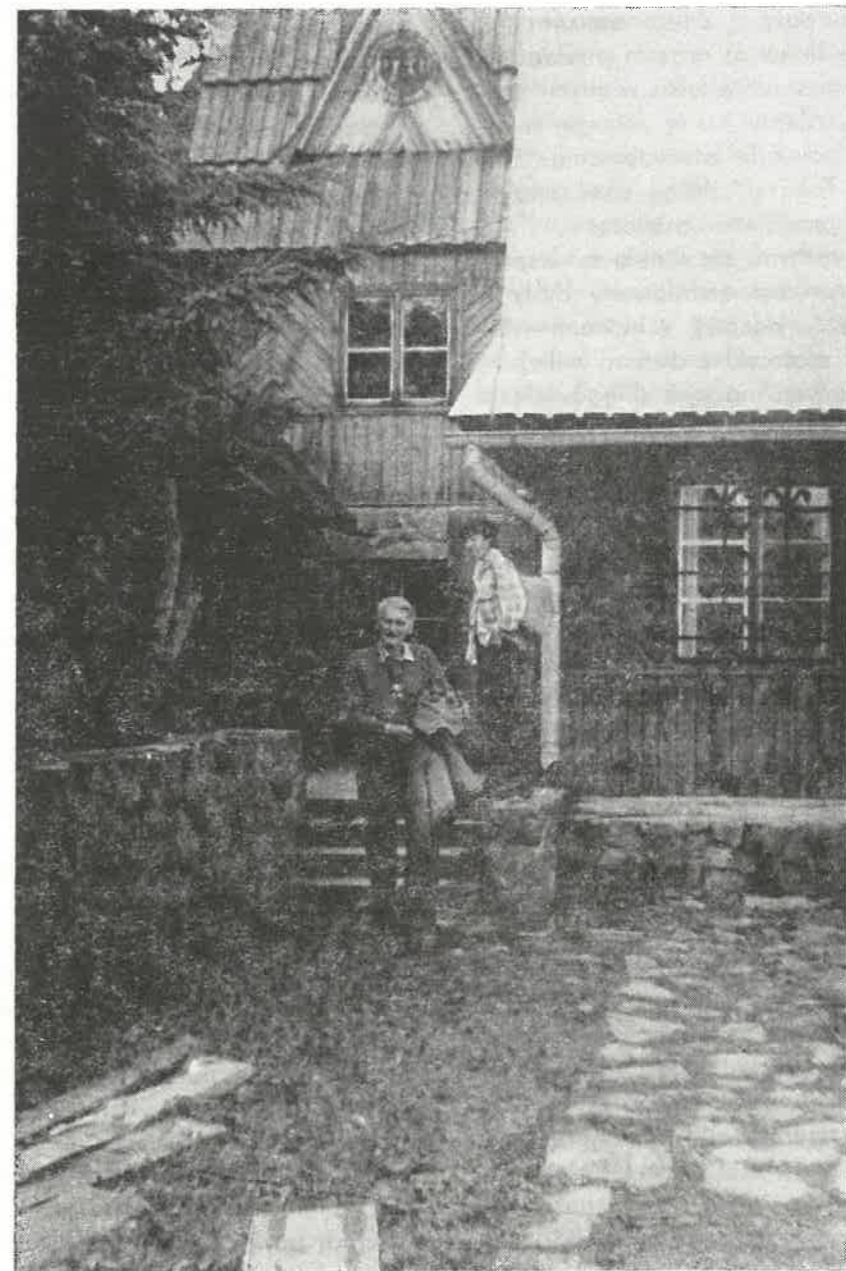
Spotkanie z leśnikami słowackimi pod Lackową — XI 1974

fol. Kazimierz Hempel

Po śniadaniu wszyscy na narty, korzystając z wyciągu zaczepowego.

Na zakończenie obozu otrzymaliśmy nawet Popularną Odznakę Narciarską. Pod koniec naszego pobytu na Skrzycznym zdarzył się wypadek. Zamiast wracać na dół kolejką, grupka nas zjeżdżała obciążona plecakami. I Ala Tomsa upadłszy w czasie zjazdu doznała kontuzji nogi. Odmówiła pomocy GOPR-owcom, którzy akurat przejeżdżali tam. Zeszła dzielnie pieszo o własnych siłach i dopiero na pośredniej stacji założono jej na wszelki wypadek szynę i załadowano na krzeselko. Po powrocie w Łodzi, w pogotowiu prześwietlenie wykazało złamanie kości.

Szczególnie podobał mi się obóz w Beskidzie Niskim, w Lipowcu. Po przebyciu autokarem „dzikiej” drogi górskiej, lądujemy na odludnej polanie. Wyładujemy stopy bagażu ze sprzętem namiotowym, żywnością, odzieżą. Nosimy to na raty przez jakiś potoczek i pokrzywy na inną



V Rajd Sądecki — X 1987 — K. Hempel przed Ośrodkiem Kultury Turystyki Górskiej na Jaworzynie Krynickiej
fol. Jolanta Grońska

wyrównaną polaną po wsi. Ustawiamy namioty w koło jak obóz warowny, a naokoło niego zawieszamy na drzewach linki, na nich kolorowe szmatki — „fladry” mające odstraszać wilki.

Odwiedzają nas dwaj wybitni przedstawiciele kultury łemkowskiej — poeta Paweł Stefanowski i Teodor Gocz, twórca muzeum w Zydranowej. Zwiedzamy je nazajutrz. Zarówno zbiory przedmiotów kultury ludowej Łemków, jak i militaria

zebrane z pola bitwy o Przelęcz Dukielską robią właśnie tam na miejscu duże wrażenie. Potwierdza się zdanie wielu znawców muzealnictwa, że najważniejszym miejscem dla zbiorów jest region pochodzenia eksponatów, jest środowisko, w którym były żywą częścią życia.

Wycieczki górskie prowadzone przez Tadzia Kielbasińskiego mają specyficzny dla Beskidu Niskiego urok dzięki niezmiernie bujnej roślin-

ności. Przebijamy się przez gąszcz poszycia leśnego, drogami bez znaków. Zdezorientowani w tym gąszczu idziemy ślepo za naszym przewodnikiem, który wiedzie nas sobie tylko znanymi perciami. I ku mojemu zdziwieniu w pewnym miejscu w gęstym lesie powiada zdecydowanie: „Jesteśmy na szczycie Tokarni”. Więc choć szczytu tam nie widziałem, przyjąłem na wiarę.

Gdy przy ognisku raczymy się winem ze wspólnego pucharu (którym był emaliowany biały w czerwone serduszka — nocnik), z hukiem wyłania się z ciemności motocykl z dwoma milicjantami, którzy zaalarmowani nocnym zbiegowiskiem niedaleko granicy, przyjechali sprawdzić, co to. Więc Koleżanki z uśmiechem częstują ich tym pucharem. Zaskoczenie zupełne. Biedni nie wiedzieli co zrobić — bo to picie na służbie. Były też odwiedziny żołnierzy z WOP-u, którzy naszą wieczornicę urozmaicili ogniami sztucznymi. Na środku naszego obozu na wysokim maszcie wisiała chorągiewka zsyta ze sztuk tkanin różnych — symbol włókienniczej Łodzi.

Obóz w Tyliczu, z którego została mi ładna plakietka przedstawiająca starodawną mapę tych stron. Wędrujemy na okopy Konfederatów Barskich. Pamiątka zdarzenia, gdy tak mała garstka śmiała się przeciwstawić potęgze Rosji. I refleksja, jak to czasem czyni zdawałoby się nieuzasadniono rozumowo, emocjonalne, znaczą jednak wiele w naszej historii.

Wędrując ku Lackowej spotykamy słowackich leśników — pogawędka i wspólne fotografie. A po zejściu ze szczytu zwiedzanie zrujnowanej cerkiewki nieistniejącej wsi koło Izb. Wewnątrz na ścianie podpisy „turystów” między innymi „KH” które złośliwi przypisują mnie niewinnemu.

Na obozie była też Rosjanka, sympatyczna kuzynka Tatiany Pawłowicz. Mogła ona podziwiać „nieporządek” na granicy polsko-czechosłowackiej, gdzie nie spotyka się ani drutów kolczastych ani strażników. Więc dla upamiętnienia posadzono ją na słupek graniczny i sfotografowano.

Podczas obozu w schronisku Pasterka skompromitowaliśmy się jako przodownicy. Wyruszyliśmy na Błędne Skały szlakiem granicznym i zbyt wcześnie wyszliśmy do góry na jakieś puste pola. A że była gęsta mgła i dróżki pod śniegiem, nie wiedzieliśmy w ogóle, gdzie jesteśmy. Nagle z mgły wynurza się w dolinie drewniany kościółek. Po dłuższej dyskusji wnioskujemy, że to Pas-

terka i dzięki temu przypadkowi trafiliśmy na właściwy kierunek, ale po drodze znowu trafiamy na jakieś strome wąwozy, aby po dwu godzinach trafić na szlak. To był chyba unikalny wypadek zabłądzenia dwunastu przodowników GOT.

Obóz w Sromowcach pozwolił nam na zwiedzenie uroczych wsi spiskich. Ale też dał przegnębiające wrażenie z widoku gigantycznych ruin przerwanej budowy zapory czorsztyńskiej. Miliardy, lekką rączką zmarnowane. A pomyśleć, że rozsądna gospodarka leśna uczyniłaby zbędne zapory przeciwpowodziowe. Wprawdzie lasy zniszczyły poprzednie pokolenia, ale co my robimy aby błędy naprawić?

Zwiedzamy dobrze utrzymany zamek w Niedzicy. Sympatyczny przewodnik kreśli krótko dzieje zamku. Ale dopiero na moje pytanie przyznaje, że do roku 1931 istniała tu najprawdziwsza pańszczyzna, zniesiona ustawą polskiego Sejmu (warto poczytać Wierchy 1961 r. str. 192). Pod szczytem Trzech Koron spotykamy kol. Grzegorza Ulmana, który schodząc do Krościenka zbiera na szlaku butelki po wódce, które sprzedał na dole w skupie.

XX-lecie Klubu uczciliśmy na Chochołowskiej w połączeniu z wyjazdem do Zamków Orawskich i Orawskiego Morza. Otrzymałem wtedy funkcję pilota w autokarze. Oprócz załatwiania drobnych formalności granicznych miałem zadanie dawania objaśnień krajoznawczych. Wiadomości o Orawie czerpałem z Przewodnika po Podhalu, Spi-szu, Orawie i północnej Słowacji — prof. Reychmana. Książka dla mnie pamiątkowa bo opatrzona dedykacją autora — „Panu Kazimierzowi Hempłowi współmiłośnikowi Tatr i wszelkich gór — Jan Reychman” 1974 r.

Obaj piloci dostali urzędowe białe czapki ozdobione plakietką z godłem Klubu. I tu nasuwa mi się pytanie, dlaczego znakomita większość członków ukrywa na wycieczkach przynależność klubową, z której powinni czuć się dumni. Nie widać plakietki ani na plecach ani na skafandrach. Miniaturowy znaczek Klubowy jest widoczny tylko dla wtajemniczonych. Niestety takie osłabienie poczucia tożsamości organizacyjnej występuje w całym PTTK. Zdarza się nawet, że na schronisku brak godła PTTK.

Wiosenna pora dała nam piękne kontrasty. Północne stoki Tatr Zachodnich jeszcze ośnieżone, a w żlebach długimi jezorami śnieżne pola

sięgają dna dolin. A na południowych stokach Kominiarskiego Wierchu prawdziwe święto prymulek, których piękna żółta barwa jest podkreślona słońcem. A w lesie obok płatów starego śniegu kwitnie skromniutki urdzik. Jubileusz XX-lecia zakończyła wieczornica z udziałem zespołu góralskiego. Nasza Koleżanka Eleonora Nowicka wystąpiła w pięknym stroju góralki. W drodze powrotnej wraz z Kol. Zosią Keppe zwiedzamy „Atmę”, willę w której przez pewien czas mieszkał i tworzył Karol Szymanowski. Wnętrze nadano taki wygląd jakie miało za czasu pobytu Szymanowskiego, ponadto bogaty zbiór fotografii i sprzedaż płyt z jego utworami. Zwiedzaniu towarzyszą dźwięki muzyki.

Na XXV-lecie Klubu wybraliśmy się na Kalatówki. Przybył też serdecznie witany członek honorowy Klubu kol. Władysław Krygowski. Jak zwykle w swym przemówieniu poruszył najistotniejsze sprawy stosunku człowieka do gór. Prezes ujawnił, przyjęty radosnymi oklaskami fakt, że jeden z najstarszych członków Klubu, w tym dniu wszedł po raz pierwszy na Giewont, a był to stary wyga górski. Ja tego dnia też miałem przyjemność, bo wszedłem na Giewont w 55 lat po moim pierwszym wejściu na tę górę. I znajduję tam znaki czasu — oto zamiast jednego wejścia na kopułę szczytową, nowa osobna droga do wchodzenia a stara droga tylko do zejścia — słowem autostrada z ruchem jednostronnym. Oto skutki masowości. Przypominam sobie, że przed wojną, w dniu Święta Gór — na Giewontcie policjant regulował ruch na jednej drodze wiodącej na szczyt. Ale wtedy to było zdarzenie, o którym pisały gazety.

W czasie drugiego wieczoru wyświetlano na ekranie przeźrocza (nie slajdy!) z 25 lat działalności Klubu, zebrane i opracowane przez kol. Jolę Grońską i Elę Nowicką. Doprawdy imponujący dorobek Klubu w górach Polski, Bułgarii, Rumunii, Jugosławii, Alp. (A dziś dochodzi Nepal i Hindukusz, może i Andy). No i na tych przeźroczeniach mnóstwo sympatycznych buziek i gąb.

Trzeba ze wstydem przyznać, że mimo parodniowego pobytu tuż pod bokiem klasztoru OO. Albertynów nikt z nas nie pomyślał, aby odwiedzić ten przybytek związany z pamięcią tak wspa-niałego człowieka, jakim był błogosławiony brat Albert Chmielowski, opiekun najbardziej opuszczonych. Tu na Kalatówkach jest miejsce naj-

piękniejszej tradycji w Tatrach. Tymczasem aura plata figla. Grupa, która wybrała się na Czerwone Wierchy, była zmuszona zawrócić z powodu śnieżycy i lodowatego wichru w czerwcowy dzień.

Następnie przenosimy się do Pięciu Stawów. Najlepsza droga przez Kasprowy i Świnicę okazuje się niebezpieczna. Grupa łódzkich Świstaków, która tamtędy przeszła melduje, że przy zejściu ze Świnicy jest pole, strome, śnieżne, bez asekuracji, podcięte u dołu ściany. Więc autobusem do Morskiego. Ale Prezes Leszek Fularski z synem i paroma takimi, jak on, ryzykują i pierwsi są w Pięciu. Tam wszyscy lecą na Orlą Perć a starsi panowie, jak piszący te słowa, wylegują się wśród stawków. Odwiedzam starodawny niski szałas pasterski, zakonserwowany jako zabytek. A w środku tego zabytku stopy plecaków i śpiworów. To taternicy robią z szałasów właściwy użytek. A potem były olbrzymie pola śnieżne pod Szpiglasową i na tle śniegu doskonale widoczne stado kozic. Gdy tylko zeszyły ze śniegu stały się niewidoczne na tle skał.

I tak możnaby chyba bez końca opowiadać o wspomnieniach z obozów klubowych. A przy okazji wtrąciłem parę słów o tym, co nazywam krajoznawstwem serdecznym, co więcej znaczy niż sam sport.

Tu wspomnieć należy, iż po szeregu obozów takie krajoznawstwo serdeczne dał nam Jacek Ciesielski organizując zwiedzanie np. papieskich Wadowic i Kalwarii Zebrzydowskiej, grobu świętej Jadwigi Śląskiej.

Dziękując kolejnym zarządom Klubu za tyle wrażeń, wyrażam życzenie, aby i na przyszłość było w obozach jak najwięcej serdecznego krajoznawstwa, wnoszącego trwałe wartości.

Kazimierz Hempel

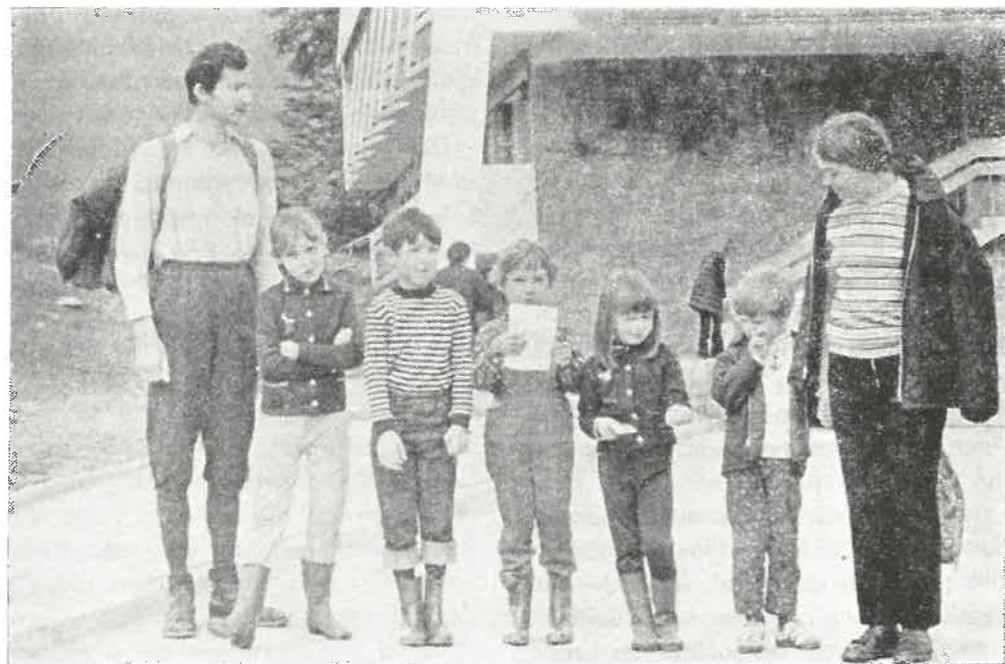
30 lat minęło

Kiedy ostatnie złote liście pokryją ścieżki turystyczne i nastaną jesienne słoty, wiatr, deszcz, a pierwszy śnieg otuli piargi i skały, kończą się wędrówki z plecakiem.

Klub Turystów Górskich „Kosówka” rozpoczął wtedy działalność kulturalną, towarzyską i rozrywkową.

Nie jesteśmy bezdomni dzięki serdecznemu stosunkowi do Klubu, ludzi miłujących turystykę. PTTK nie dysponowało lokalem klubowym, chociaż w pierwszych latach spotykaliśmy się w pomieszczeniach Zarządu Wojewódzkiego PTTK, przy ulicy Piotrkowskiej 102a. Warunki do odbywania zebrań nie były najlepsze, musieliśmy dzielić miejsce z innymi Komisjami i stale przesuwaliśmy terminy zebrań.

Przypadek zrzucił, że wśród członków Klubu znalazł się Stasio Wierzbowski będący w dobrej komitywie z dyrekcją Zakładu Sieci Ciepłej, ponieważ pracował tam na stanowisku Głównego Księgowego. Krótka rozmowa wystarczyła, aby udostępniono nam świetlicę przy Al. Kościuszki 59, gdzie do dziś spotykamy się na zebraniach.



Krysia Opasewicz i Krzysiek Groński w roli „Dyżurnych opiekunów” najmłodszego pokolenia na zlocie klubowym w Suchej Dolinie (1972) (od lewej: Ania Trombska, Piotruś Groński, Ania Chyżewska, Małgosia Trombska, Igor Opasewicz) fot. Jolanta Grońska

Warunki lokalowe są znakomite i pozwalają na organizowanie przeróżnych imprez. Tradycyjnie spotykamy się dwa razy w miesiącu w czwartki o godzinie 18.00.

W ciągu pierwszych dziesięciu lat Klub zwiększył ilość członków i działał bardzo dynamicznie w dziedzinie turystyki górskiej i nie tylko. Kwitło życie towarzyskie, a jego efektem były liczne małżeństwa klubowe. Uczestniczyliśmy w ślubach Nowickich, Godziszów, Grońskich, Trombskich, Chyżewskich, Opasewiczów (1960—66). Naturalnym obrotem sprawy nastąpił okres kilkuletniego zmniejszenia aktywności niektórych członków Klubu, spowodowany „przyrostem naturalnym”. Ojcowie zmuszeni byli do prania pieluch, spacerów z maluchami, wypraw do ZOO i na place zabaw. Gdy dzieci na tyle podrosły, że mogły o własnych siłach odbywać wędrówki, matki i ojcowie powrócili na turystyczne ścieżki wraz z nimi. Żeby dzieci w czasie pobytu w górach nie nudziły się i nie ginęły, ustalano dyżurnych wychowawców. Największym uznaniem cieszyli się Adam Chyżewski i Krzysztof Groński. Urządzaliś-



Chór klubowy „Juhasik” na 15-leciu KTG — Sandomierz 1973

fot. archiwum

my dla maluchów (i nie tylko) bale przedszkolaków (np. Sucha Dolina 1972).

Obozy szkoleniowe, zloty, rajdy i inne imprezy górskie przyciągnęły wiele młodych osób, które z kolei wprowadzały do Klubu swoich znajomych. W ten sposób Klub rozrósł się w ostatnim czasie do liczby 175 członków.

W ostatnich czterech latach przeżywamy wyraźny renesans. Nie wynika on wyłącznie z przyrostu liczbowego członków, a przede wszystkim z ojcowskiego klimatu, jaki tworzy od dwóch kadencji prezes Lechosław Fularski.

Po dłuższej przerwie powrócono do uroczystych zakończeń sezonu turystycznego, tradycyjnego łamania się oplatkiem, śpiewania kolęd i drobnych upominków składanych pod choinkę. Obchodzi się Święto Kobiet, imieniny, pamięta też o świeczkach na grobach zmarłych członków Klubu (których niestety jest już sporo).

Bez przesady można powiedzieć, że w „Kosówce” panuje klimat rodzinny, który ujawnia się nie tylko na wspólnych imprezach turystycznych, ale również we wzajemnych prywatnych kontaktach między członkami Klubu. Ogólnie, w Klu-

bie się mówi, że najlepiej można poznać człowieka w czasie imprezy turystycznej. Wiele takich imprez zmusza uczestników do spania w jednym namiocie, jedzenia z jednej miski, dzielenia się pożywieniem, organizowania gotowania, zmywania naczyń. Są długie wieczorne rozmowy, dyskusje. Wszystko to przyczynia się do wzajemnego zbliżenia.

Sięgając pamięcią wstecz, utrwaliły się liczne zloty i obozy szkoleniowe: w Beskidach, Bieszczadach, Sudetach, Tatrach. Niewielu z nas pamięta pierwszy zlot klubowy w MŁADEF HORZE w 1958 r. Mimo spartańskich warunków i paskudnej pogody, duch turystyczny nie upadł, a pod wodzą Wujcia rozwijało się w namiotach życie towarzyskie. W 1960 roku klubowicze wędrowali dzikimi bezdrożami bieszczadzkimi. Zlot był w Berehach. Namioty, wieczorne ogniska ciągnące się do późnych godzin nocnych i płynące słowa piosenek. „Bieszczady góry mych marzeń, snów, przecudne twe połoniny...” i dalej: „Wejdę na Rawkę i Halicz...” I weszliśmy na Wlk. Rawkę na Halicz, Kremenaros. Przeżyliśmy chwile grozy, gdy zaginęła Lamirko z dziewczyną (nocowali w



Zakończenie sezonu 1975 — „Bal retro” (od lewej: Zosia Wojciechowska, Basia Stolarczyk, Tatiana Pawłowicz, Iwona Hoeflich, Janeczka Brycht-Zimowska, Jarek Ulman) fot. archiwum



Zakończenie sezonu 1977 — „Mikołaj i aniołki” (od lewej: Tatiana Pawłowicz, Andrzej Lesiński, Jola Grońska, Romek Zieliński, Basia Stolarczyk) fot. archiwum

drenie). I żmija wtulona w ciepły koc w namiocie Wujcia. I konieczność noclegu w strażnicy WOP w Ustrzykach Górnych. Wspomnienia, jakże barwne w swej treści mimo upływu 30 lat.

Najatrakcyjniejsze były jednak wyprawy w Tatry Wysokie, prowadzone przez Wujka, Adama Chyżewskiego, Leszka Fularskiego czy Zbyszka Ścibiorka. A także przez przewodników GOPR z Zakopanego — Władka Habila (1964 r.) i Wojsa. Zdobywano najwyższe szczyty Tatr po naszej i słowackiej stronie. Różne warunki górskie, załamania pogody, przemoczenie do „suchej nitki”, niespodziewany śnieg, lub niebo błękitne przez tydzień. Wspólne przeżycia trudnych przejść w skale, podobne odczucie piękna gór, odbieranie w milczeniu panoramy z Krywania, Wysokiej, Gerlacha. To wszystko złączyło wędrujące z plecakami kilkuosobowe grupy na więcej niż 30 lat.

Dwutygodniowe obozy szkoleniowe były również znakomitą okazją do sprawdzenia się kan-

dydatów na przewodników górskich. Z niezapomnianych obozów należy wymienić wędrowkę przez Beskid Niski i Bieszczady w 1964 roku w dwóch grupach. Jedna z Wujciem, a druga ze Stefanem Oczkowskim i Andrzejem Łączyńskim. Obóz w Sudetach w 1965 roku, który prowadził Marek Trombski. Wędrowkę z Krynicy w Bieszczady tak, by zdążyć na odbywający się tam rajd Służby Zdrowia. Grupę prowadził w 1969 roku Witek Opasewicz. W międzyczasie „zaliczano” Sudety, Gorce, Beskid Śląski, Żywiecki i tradycyjnie co roku Tatry. Sztandarową imprezą Klubu jest 30-ty już Rajd Łysogóry Jesień, a w ciągu ostatnich pięciu lat rajd sądecki „Wujcia”.

Poza ożywioną działalnością turystyczną, osobny rozdział w historii „Kosówki” stanowi życie towarzysko-rozrywkowe.

Trudno sobie wyobrazić rozrywki w Klubie bez udziału Tatiany Pawłowicz, Romka Zielińskiego, Basii Stolarczyk, Pawła Suwalskiego, Joli Groń-



20-lecie KTG (1978) w Dol. Chochołowskiej — na przeł. Iwaniackiej

fot. Jolanta Grońska



20-lecie KTG (1978) w Dol. Chochołowskiej (od lewej: Krysia Opasewicz, Kamila Grodzka, Tatiana Pawłłowicz, Leon Wojciechowski)
fot. archiwum

skiej. Mieliśmy w Klubie własnych wodzirejów (Wujcio Siemiradzki i Stefan Skotnicki). Własny chór „Juhasik” — Olek Siemiradzki, Romek Zieliński, Włodek Bartczak, Witek Opasewicz, Czesio Szadkowski, Rysio Żurek (chór przeszedł na emeryturę). Najbarwniejszymi imprezami były zakończenia sezonu turystycznego, odbywające się na przełomie listopada i grudnia, pod zaskakującymi hasłami. Był „Pokaz mody turystycznej” (1973), „Bal w stylu retro” (1975), „Bal w ambasadzie” (1976), „Mikołaj i Aniołki” (1977), „Statek do Młocin” (1978), „Dobro i zło”, i po dłuższej przerwie „Pojedziemy na łów” (1986). Przy okazji ujawniały się talenty plastyczne, artystyczne, literackie. Na czołowego poetę Klubu wyrósł Wiesio Preiss. Był tak płodny, że na wiele lat wyposażył nas w trafne teksty o życiu klubowym. Znana stała się jego piosenka „O Klubie turystów...” Wiesio przejął stronę literacką opracowania tekstów na program specjalny z okazji obchodów 15-lecia Klubu w Sandomierzu (1973). Teksty tworzone na towarzyskich zebraniach u Janki Brycht-Żurek. Oto co Kronikarz podawał:

Poza sezonem sekcja imprezowa,
w zanadru różne atrakcje chowa,
wieczór w Agawie, kawa w Irenie,

i nocny spacer w obcym terenie,
Zaslugi Klubu były niemałe,
czego efektem są związki stałe,
Ela ze Staszkiem, Marek z Haliną,
Jasio Bielinek z każdą dziewczyną.

Z uśmiechem wspominamy „turystyczną” jazdę członków Kosówki, tramwajem nie zatrzymującym się na przystankach, z ulicy Północnej do Helenówka. Motorniczym był pan w białej koszuli z muszką, Antoś Drewniak. Około 30 osób, jechało na spotkanie towarzyskie do Krysi Niemieckiej.

W świetlicy Zakł. Sieci Ciepłej od jesieni do wiosny, odbywają się zebrania członków przy stosunkowo dużej frekwencji (średnio około 60 osób).

Atrakcyjne są relacje z wędrówek w kraju i wojaży za granicę. Nie poprzestaje się tylko na tym. Liczne prelekcje wzbogacają naszą kulturę w szerokim tego słowa znaczeniu. Zajęci codziennymi sprawami nie zawsze mamy czas na sięgnięcie do tematów takich, jak życie i twórczość Karola Szymanowskiego, Mieczysława Karłowicza, a już na pewno nie wiedzielibyśmy wiele o sylwetkach dawnych działaczy PTT w Łodzi, o najdłuższym lodowcu w Himalajach itd.



Zakończenie sezonu 1978 — „Statek do Młocin”

fot. archiwum

W latach 70-tych stopniowo zaczęło się w Klubie rozwijać zagraniczna turystyka górską i krajoznawczą. Początkowo skromnie do naszych południowych sąsiadów, później coraz dalej do Bułgarii, Jugosławii, Rumunii, do Szwajcarii i

Austrii, Turcji, Hiszpanii, Włoch i Grecji. Rozpalone apetyty na poznawanie świata doprowadziły do wypraw na inne kontynenty.

Największym dotychczasowym klubowym osiągnięciem górskim jest wyprawa w Himalaje pro-



Zakończenie sezonu 1986 — „Pojedziemy na łów”

fot. archiwum

wadzona przez Zbyszka Ścibiorka i przejście 9 osób przez przełęcz Torung-Pass na wysokości 5460 m n.p.m. A osiągnięcia krajoznawcze to Indie, Malezja, Singapur, wulkany Indonezji. Marzą się nam dalsze wyprawy w Andy oraz do Chin.

30-lecie „Kosówki” to n-lecie zaprzyjaźnionej grupy ludzi, których połączyły wspólne wędrówki z plecakiem, podobne zainteresowania, a nade wszystko miłowanie gór.

Pięknymi słowy wyraziła to Ela Nowicka, współzałożycielka naszego Klubu: „Klub dał nam to, co może dać w życiu człowieka taka organizacja, poza rodziną i pracą. Przyjaciół, dobre towarzystwo, możliwość rozwijania zainteresowań z różnych dziedzin — nie tylko turystycznej, ale i literackiej, poetyckiej, muzycznej. Wszystkie te lata przeżyte w Klubie, dały nam bogactwo przeżyć w gronie przyjaciół na łonie natury. Pamiętamy wycieczki i długie marsze z plecakiem w dni pochmurne i deszczowe, zawieje śnieżne, burze z piorunami, lecz także w piękne słoneczne dni i księżycowe noce”.

Zaszczyt prowadzenia Klubu z 30-letnią tradycją przypadł w XV-tej już kadencji, kolejnemu Zarządowi w składzie:

Prezes	Lechosław Fularski
v-ce prezes	Maria Lisowska
ds. imprez turyst.	
v-ce prezes	
ds. organizacyjnych	Jolanta Grońska
sekretarz	Elżbieta Olszewska
skarbnik	Elżbieta Korczak
członkowie	Jerzy Chojnacki
	Włodzimierz Rakowiecki
	Adam Sulikowski
	Maria Więciorska

Komisja Rewizyjna:	
przewodnicząca	Eleonora Nowicka
członkowie	Maria Brojer
	Tatiana Pawłowicz

30 lat minęło, ale wytrwałość turystów górskich i ich doskonała kondycja duchowa i fizyczna pozwala wierzyć, że Klub będzie obchodził jeszcze wiele okrągłych rocznic.

Jolanta Grońska
Witold Opasewicz



